Nr. 46. Warszawa, dnia 4 (16) Listopada 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SALISBURY W GUILDHALL.

Pierwszy minister Anglii, jak nakazywał zwyczaj narodowy, znalazł się i w tym roku, d. 9 listopada, na bankiecie u nowego lorda mayora Londynu i, hołdując temu zwyczajowi, wygłosił mowę stylowo-polityczną. Najjaskrawszym był w niej ustęp o Turcyi. Jeżeli reformy będą wykonane — mówił margrabia — to zapewnią armeńczykom pomyślność. Wszystko zależy od woli sułtana. Gdyby woli tej zbrakło, najlepsza nawet konstytucya nic by nie pomogła. Wiadomości z Konstantynopola nie są pocieszające. Rząd, który uporczywie źle rządzi, sam swój los sobie gotuje: nie odwrócą go ani traktaty, ani kombinacye mocarstw. Spełni się naturalna konieczność i same też mocarstwa przyczynią się do zgotowania ostatecznego losu. Od półwieku Turcya istnieje tylko dzięki porozumieniu się Europy, która uznała jej istnienie za potrzebne dla pokoju i dla chrześcijaństwa. Pogląd ten się nie zmienił. Upadek Turcyi niebezpiecznym jest nietylko dla ziem tureckich, ale i dla innych narodów. Pożar musiałby je ogarnąć, walka byłaby powszechną.

Niebezpieczeństwo takie dostrzegli już przodkowie dzisiejszych Anglików i dla tego wprowadzili niepodległość i nietykalność Turcyi do traktatu europejskiego. Złudną byłaby nadzieja że ten traktat moc swoję utraci przez odłączenie się jednego mocarstwa od innych. W tej chwili wcale się na nic podobnego nie zanosi: Mocarstwa idą ze sobą, obok siebie stać będą, i wytrwają w systemacie równowagi, który im ich wspólna mądrość obmyśliła. Złudzeniem także byłaby wiara w otoczeniu sułtana, że owa wspólna zgoda na istnienie Turcyi, osłania już wszelkie w jej rządzie i zarządzie nadużycia. Co zrobią teraz mocarstwa? — lord nie wie, ale nie jest to bynajmniej niemożliwem, iżby mocarstwa znużone wreszcie skargami, ułożyły między sobą inny jaki porządek i wprowadziły go na miejsce tego, na którym się zawiodły. Staro-turcy niczego dla siebie wyglądać nie powinni z „koncertu europejskiego.“ Niechaj nie liczą na zakneblowanie ust stronnictwu postępowemu. Mocarstwa pójdą i dalej zgodnie. Nic tak margrabiego nie ucieszyło w obecnych rokowaniach, jak właśnie poczucie niebezpieczeństw z zerwania zgody.

Spokój chrześcijaństwa jest tym szlachetnym celem, w który dyplomacya w Konstantynopolu jasnem się okiem wpatruje i do którego stateczną wolą podąża. „Jest to symptomat wielce pocieszający, i spodziewam się, że sam ten fakt daje dziś już podstawę do trwałego systematu działania, a w przyszłości położy kres stanowi zbrojnego pokoju.“

Umyślnie przytoczono tu ostatnie *finish* popisu w cudzysłowie, aby już nikt nie wątpił o tej lekkości serca, z jaką Salisbury wybrał się do Ghildhall na swoję stylowo-polityczną mowę. Cała teza nadziei, opartej na obawie niebezpieczeństw, zrobiona jest z pajęczyny. Ani sułtana to, co powiedział margrabia, nie nawróci, ani mocarstw do traktatów i do nietykalności Turcyi nie przykuje. Pierwszy minister dał mowę dyplomatyczną, która też wielce podobała się dyplomacyi w Wiedniu, w Berlinie, w Rzymie—tu nie zupełnie; ale w jego słowach nie bije puls prawdy, nie drga ta rzeczywistość, w której słychać już podziemny łoskot przyszłości.

Bulwarowemu *„Figaro“* udało się znaleźć najtrafniejsze słowo na określenie wartości mowy sobotniej: zbyt wojownicza jak na uśmierzającą, zbyt spokojna jak na wojowniczą—w treści ni to ni owo. Nie takim stylem w ważnych chwilach przemawiał Dizraeli, choćby już nie sięgać poza współczesność. Mrzonka zakończająca mowę jest nawet poważnego męża stanu niegodną: takiemi cukierkami nie częstuje się poważnego słuchacza — zostawia się je dla kobiet i dzieci. Na lichej robocie stambulskiej budować nadzieję rozbrojenia się Europy — nie jestże to bawić się w pałacyki z kart! A taką samą piankowość mają myśli Salisburego o Chinach: Anglia jakoby nic tu nie utraciła i zarówno wojennego jak handlowego współzawodnictwa obawiać się nie potrzebuje. Jeżeli mowy ministrów mają prowadzić opinię— dokąd chce zaciągnąć margrabia zdrowy sąd dzisiejszych anglików? Gdy mury pękają, nie zlepia się ich klajstrem. Jeśli Anglia nie zabiegnie upadkowi Turcyi — sama upadać zacznie. Konieczność tę przyniosą jej, jak dziś Turcyi, zarówno prawa natury, jak interesy mocarstw, od leoparda angielskiego silniejszych.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeszcze Kiamil nie miał czasu rozejrzeć się we wszystkich wspaniałościach sułtanatu, kiedy już Abdul Hamid wziął sobie nowego wezyra, byłego min. spraw wewnętrznych, Halila Ryfaata—baszę, a jemu kazał być walim w Smyrnie. Powołanie nagło Tewfika z Berlina miało ścisły związek z przygotowywaną już wówczas nową figurą kontredansa tureckiego: ambasador został ministrem spraw zagranicznych pod Halilem. Inni ludzie w nowym wezyracie dla nas mają wartość nazwisk; podawanie ich byłoby tem bardziej zbytecznem, że w kilka dni po zmianie dokonanej d. 6 b. m. mówiono już—o nowej zmianie. Upadek Kiamila sprowadzić miało jego zuchwalstwo: domaganie się atrybucyj dawnych wezyrów dla wybicia się z pod zauszników sułtańskich, Staro-Turków. Ci zaś, zwyciężywszy, głoszą, że Kiamil dał się przekupić Anglikom; oni to dostrzegli i ocalili państwo. Prawdopodobnie upadek związany jest

z postawą dyplomacyi: d. 5 b. m. posłowie działający zapowiedzieli rządowi tureckiemu, że jeśli do wiosny nie uspokoi Anatolii, mocarstwa same o uspokojeniu pomyślą. Oświadczenie było tylko ustnem, ale wywarło wrażenie. Kiamil zażądał stanowczości w reformach: sułtan jej nie chce, a pragnie uśmierzenia ruchów armeńskich: wziął sobie tedy na wezyra energicznego Rifaata. Mąż ten nie żartował z Albańczykami w r. 1887; a do sułtana ślepo przywiązany, dał mu rękojmię najlepszego rządu, jaki, w pojęciu Abdul-Hamida, Turcya mieć może i powinna.

Przewrót w duchu przeciwnym Europie stał się na trzy dni przed nowym gromem, który z ust swoich wypuścił Salisbury na bankiecie dorocznym u lorda mayora Londynu. Turcya jest potrzebną, ale jedno z dwojga upaść musi: ona albo sułtan: taki jest krótki sens długiej mowy. Takie rzeczy mówi się już dzisiaj, choćby tylko między wierszami. Wszystko to przecież nic nie pomoże, dopóki stronnictwo młodo-tureckie nie wyda się z siebie i młodego rządu. Tymczasem w Armenii może się stać coś, co rozstrzygnie i o systematach rządowych, i o sułtanatach, i o stronnictwach. Zajęcie tyłów Azyi Mniejszej nabierać będzie prawdopodobieństwa w miarę uporu lub bezsilności tureckiej. Zadanie Szakira, który wciąż niby jeszcze jest naczelnym komisarzem od reform w Armenii, utrudnia nie tylko ta możliwość przyszła, ale i rzeczywistość obecna: powstanie Armeńczyków. Po pomniejszych czynach nienawiści narodowej ku Turkom i Kurdom, spełnili oni teraz czyn już doskonale powstańczy, buntowniczy: zdobyli warownię górską Zeitun, ludzi przepuścili przez nóż, a broń, działa, amunicyą zabrali do walki z wrogiem. Dyplomatycznie jest ten wypadek dla sułtana pożytecznym; ale krótkowidztwo tylko mogłoby się takiemi pożytkami radować. Zwycięztwo Armeńczyków ma całą wagę nieszczęścia, potęgującego złą wolę ludzką; — dla nich samych jest ono fatalnem.

Do grona mocarstw, działających w Stambule, przybyły i trzy związane przymierzem. Pobudka wyszła od p. Gołuchowskiego; traktat berliński dawał wyraźną podstawę. Komisya, kontrolująca reformy w Armenii będzie się i z posłami tych trzech mocarstw porozumiewała — jeżeli wogóle będzie i kontrola i komisya. To też nie ta skromna dyplomatyczna ambicya nadaje powagę nowemu wystąpieniu, ale ukryte w niem upomnienie się o prawa wielkich mocarstw, prawa bardzo ważne na przypadek wielkiego przewrotu. Turcya runąć musi, nie w tym roku, to w następnym, za lat kilka, kilkanaście. Już teraz istnieją tajemne układy; rzecz prosta, że Francya ma już zapewnione posiadanie lub użytkowanie takie, jakie jej Anglia brutalnem usadowieniem się w Egipcie zatamowała. Kto wie nawet, czy i mar. Salisbury'emu nie przyszła już ochota ostatecznego rozdarcia konwencyi o Cypr, która miała przynieść zbawienie Turcyi i zastąpienie jej jakim traktatem, rozbierającym Turcyę. Otóż gdy jeden bierze, drugi nie powinien wychodzić z pustemi rękami, zwłaszcza jeśli tym drugim jest Austrya, która już brać zaczęła. I Włochy radeby dla siebie wskrzesić średniowieczny Lewant, i Niemcy znajdą dla siebie coś, co nie będzie samym tylko książkowym ideałem. Dawno już przestali oni być narodem idealistów — spotwarzać ich nie wolno.

Wobec Wschodu wszystko dziś blednie, nawet sprawy rzeczpospolitej francuskiej. Wspomnieć o nich przecież trzeba. Gabinet Bourgeois do przepowiedzianego mu jednego miesiąca istnienia ma jeszcze dobre dwa tygodnie. Oportuniści drwią z niego, z jego nazwisk, z jego nauki, z jego marzycielstwa. Już teraz w tym tygodniu o mało co go nie wywrócili. Ocaliło nowych ministrów tylko wyjście socyalistów i radykalnych z Izby podczas głosowania na nowego wice-prezesa w miejsce Lockroy. Następcą jego został Poincaré. Wobec grożącego codzień upadku, ogłaszanie już teraz rozległego programu z d. 4 b. m. byłoby może zbytecznem: jeżeli noworodek żyć będzie, wtedy się mu przypomni jego zawołanie. Zupełna lista ministrów w *Journ. officiel* tak się przedstawia: Bourgeois — prezydyum i sprawy wewnętrzne, Berthelot — zagraniczne, Doumer — skarb, Ricard — sprawiedliwość, Combes — oświata, Cavaignac — wojsko, Lockroy — marynarka, Krantz — kolonie, Mesureur — roboty publiczne, Guyot-Dessaigne — handel, Viger — rolnictwo.

Z dawniejszych wypadków zapisać trzeba odrzucenie d. 3 b. m. przez 17 kantonów Szwajcaryi wniosku rady związkowej o ześrodkowanie organizacyi wojska.

Japonia d. 8 b. m. podpisała konwencyę o ustąpienie z Lao-Tongu. Na Formozie walka trwa, ale Taiwan już zajęty. Anglia zaczyna się uśmiechać do mikada. Dyplomacya wypiera się umowy o ustąpienie Port Arthuru Rosyi.

BADANIA NAUKOWE.

„SOCYOLOGIA POWSZECHNA“ i jej przedstawiciel.

(Dokończenie).

Szczegółowo przytoczone dowodzenia Tarde'a są uderzającym przykładem, do czego dojść może umysł, skądinąd trzeźwy, badawczy, gdy upędzać się zacznie za analogiami i nagwałt bratać ze sobą istoty naukowo tak odmienne, jak kosmofizyka i socyologia. Przykre zdziwienie, przy czytaniu tak jałowych pomysłów, jest tem większe, że w tej samej pracy, o kilka stronic dalej, gdy tylko autor zapomniał na chwilę o nawiązywaniu podobieństw, znajdujemy bardzo piękne uwagi kosmozoficzne, jak naprzykład o pierwotnej różnolitości materyi, o powstaniu odmian chemicznych itd. i wyłuszcza tam z przesłanek filozoficznych poglądy, do których swemi drogami dochodzi także nauka ścisła*).

Jeden z wybitniejszych nowelistów paryskich, tworzących z dnia na dzień dla molocha dziennikarskiego, a więc wysilających się przedewszystkiem na jak największą oryginalność, mianowicie Paweł Hervieu, pomieścił niedawno w *Journalu* powiastkę p. t. „Le Courant“ (Prąd), gdzie w usta waryata - przestępcy włożył następującą hypotezę psychologiczną, uznaną przez pismo to oczywiście za genialną: „Czy nie jest dzikiem, do najwyższego stopnia zarozumiałem przypuszczenie, że każdy człowiek musi posiadać oddzielną duszę? Blizko dwa miliardy dusz na ziemi? ha, ha, ha! któż je wyrabia? Nie: duszę posiada tylko kula ziemska, jedną, olbrzymią; to, co odczuwa jednostka jako dusza, jest tylko rezultatem pewnego przyciągania jej mózgu przez ziemię. Świadomości jednostkowe znajdują się w takim samym stosunku do duszy ziemskiej, jak igły magnesowe do magnetyzmu ziemi. Jest pewien kierunek, ku któremu „dusze“ ludzkie stale dążą, choć są od niego odciągane; gdy nań natrafią, są w spokoju i zgodzie z innemi, które w tym samym zakresie

*) Por. np. pracę, podpisaną J. C. w *Głosie*, nr. 16 z r. 1894, p. t. „Procesy przemiany energii i z nią postaci materyi.“

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

2) Przodowniczka.

I.

Druga połowa naszego stulecia ubogą jest w kobiety, któreby się na tle czasu bardzo uwydatniały. Znaczenie ich mniejsze jest, niż dawniej, teraz właśnie, kiedy więcej, niż dawniej dla siebie żądają. Mamy w Europie garstkę artystek, malarek, autorek:—talenty przeciętne; są w t. zw. highlife'ie ekscentryczki: stworzenia nienormalne, lecz nie osobowości. Znaczenie i wpływ kobiety pochodziły zawsze więcej z tego, czem była, niż z tego, co działała, współczesnym zaś brak, zdaje się w niezwykłym stopniu własnej istoty. Działają przecież dużo, uczą się i piszą niesłychaną mnogość książek, wszystkiemu przewodniczą i na wszystko zbierają pieniądze, uzyskują stopnie doktorskie, zakładają stowarzyszenia, więcej niż kiedykolwiek występują w życiu publicznem. A jednak mniej niż kiedykolwiek znaczą w tem życiu. Gdzież są owe, których salony były punktem zbornym dla najognistszych umysłów i najznakomitszych ludzi danej epoki? Niema ich. Gdzież są, których subtelny rozum współdziałał w ważnych i najważniejszych sprawach? Należą do legendy. Gdzież są te których wpływ, powszechnie uznany, potężniejszym był od rady ministrów? Gdzież są owe, których miłość nieśmiertelne wzniosła sobie pomniki w utworach największych poetów? Gdzież są to, których gorące, a uduchowione uczucie było mężczyźnie ciepłem życiowem, ramieniem, na którem się opierał i treścią, którą się żywił, skrzydłami, które niosły go w locie ku sferom nieznanym i odprowadzały w krainę pięknego, ciężkiego, bogatego życia?—Były. Kobieta zaważyła dziś więcej jako masa i większość, lecz o tyle też straciła jako jednostka; o ile sfeminizowała ducha konającego naszego stulecia, o tyle ucierpiała porażkę, jako płeć. Wpływ jej na poezyę przejawia się u największych wieszczów ósmego dziesiątka lat jako intenzywna, zajadła nienawiść. Natchnęła mężczyznę myślą napisania apoteozy wstrętu dla kobiety: — Tolstoj stworzył swoją „Sonatę,“ Strindberg—szereg dramatów, Huysmans—„En ménage“; u mniejszych gwiazd spotykamy pewną nieufność wobec miłości, a gdzie nieufność dotrzeć nie zdołała, tam młodzi nasi poeci stoją, opuściwszy ręce i już wcale kobiety nie pojmują. Jest dziwną cechą naszego wieku, cechą, której dawnej—mimo surowego zewnętrznego odosobnienia—nie było, że mężczyzna i kobieta wewnętrznie tak są sobie dalecy, tak mało wzajem mają dla siebie zrozumienia. Owa uczciwa, nierozanalizowana zgodność, owa wierna, że tak powiem, organiczna niemal spójność, jaką spotykamy w starszych stadłach małżeńskich, jakby znika. Z dwojga związanych ze sobą ludzi, każde idzie własną drogą, — albo też nerwowo wzajem się szukają, odnajdą się na czas jakiś krótki i znowu się wzajem utracą. Czy wina to mężczyzn naszego wieku? Dawniejsi mężczyzni byli zpewnością inni, lecz wątpię, czy względniejsi dla kobiety.

Więc może to wina niewiast naszego wieku? Przyglądam się życiu i widzę, że kobieta tworzy i paczy, niszczy lub rozwija wewnętrzne życie mężczyzny. Dusza matki i kobiety, zpośród innych wybranej, wyciska niezatarte piętno we wrażliwym mężczyznie.

spoczywają. Jeśli się ludzie nie zgadzają, jeśli istnieją wszystkie osobiste kłótnie i społeczne rewolucye, to dlatego, że postacie ludzkie są różnie skierowane. Wszak gdy ludzie chcą się kłócić, to stają naprzeciwko siebie, a gdy toną we wspólnej myśli, np. w kościele, to zwróceni są wszyscy w jednę stronę?"

Doprawdy, nie widzę, w czem wytłomaczenie niestałości, zaburzeń między ludźmi, niezgody — przez odsuwanie się od kierunku magnetycznego — jest gorszem, mniej naukowem, niż tłomaczenie tegoż zjawiska przez rozbicie się społeczeństwa na płaszczyźnie, zamiast stłoczenia w grona? Wogóle, należy pamiętać, że jeśli chcemy objaśnić i powiązać z sobą logicznie tylko część faktów jednej kategoryi, które nas najbardziej chwilowo uderzają i wydają nam się jedynymi lub najważniejszymi, to możemy zbudować, oprócz normalnego, naukowego, na doświadczeniu opartego, setki innych systemów, które na razie równie dobrze umysł zadowolić potrafią. Śnieg, jako zjawisko zimowe, wiążemy obecnie przyczynowo, z jednej strony z parowaniem wilgoci z ziemi i przejściem jej w stan stały, z drugiej — z krążeniem globu naokoło słońca, sprowadzającem, dzięki zmiennej odległości od niego, różne pory roku. Jeśli jednak zapomnimy o tem krążeniu, jeśli stracimy chwilowo z oczu szereg innych obserwacyj, który stopniowo wyparł z umysłów ludzkich uosobienia sił natury (a były to spostrzeżenia przeważnie koniecznej peryodyczności lub stałości zjawisk, niemożności zmiany) — to czy przerwanie i zgęszczenie pary przeszkadza nam wyobrazić sobie jakąś olbrzymią istotę, Zimę mitologiczną, której płaszczem są chmury — płaszczem, utkanym właśnie z kropelek pary; z niego ona, wstrząsając, sypie, gdy zechce, gwiazdki śniegowe?

Łańcucha przyczynowego zjawiskowego — jeśli oczywiście jest cząstkowy, jeśli pomija wiele rzeczy bardziej oddalonych — nie zamąca bynajmniej wyobrażenie Nocy, co „lśniącą szronów zasłonę nad głową spina zastygłych łez perłą"; wyobrażenie to jest tylko jakby wyszyte obcą jakąś nitką na kanwie przyczynowej, lecz jej nie psuje. Kto chce więcej przykładów, niech weźmie choćby „Baśń nad baśniami" Wojciecha Dzieduszyckiego lub każdą inną mitologię, spisaną czy też opowiedzianą w formie bajek. Sprzeczność między pojęciem mitologicznem a naukowem nigdzie nie występuje bezpośrednio: trzeba ją dopiero wyprowadzić z połączeń dalszych, ze względów ogólniejszych.

Typową formą takiego haftowania wzorów na tle zamkniętych w sobie łańcuchów przyczynowych jest cały „czwarty wymiar," który nie przesuwa ani jednej cegiełki w budowie trzeciego; najogólniejszą zaś — pojęcie numenu, które, przenosząc wszystko nasze „formy ujęcia," a więc i pojęcie przyczynowości, do dziedziny fenomenu, pozwala tem samem przypuszczać po za naszą świadomością jakąś zupełną dowolność, której prawidłowość doświadczalna jest tylko stroną zjawiskową. Gdy tedy prawidłowość zjawiskowa jest wyłączną dziedziną wiedzy, ową dowolność numenalną przystraja w najróżniejsze szaty poezya; zgodnie z Langem, możemy jej przyznać zupełne do tego prawo, byleby nam owych masek do domu nauki nie wprowadzała. Tymczasem, gdybyśmy ze swej strony w uosabianie zabawiać się chcieli, moglibyśmy przypuścić, że to ów Dowolny Numen, chcąc sobie zadrwić z zabiegów uczonych, zwiał ze swej bezmiernej, nieprzejrzanej zasłony na umysły ludzkie wszystkie powyższe hypotezy, a na umysł Tarde'a — jego „powszechno-socyologiczny punkt widzenia."

Umysł Tarde'a był może zresztą z góry przeznaczony do przyjęcia tego objawienia. Nie wiem, czy wiadomo u nas, że pierwszym występem owego autora na polu piśmiennictwa był wydany w roku 1879, a więc na lat pięć przed pierwszemi jego pracami naukowemi w *Revue philosophique*, tomik poezyj, bardzo gorących i marzycielskich. Wykazują one tyle talentu, że można być pewnym, iż Tarde byłby dzisiaj jednym z wybitniejszych literatów, a nie uczonych francuskich, gdyby był dla chleba nie skończył wydziału prawnego i nie został sędzią śledczym. Umysł jego ruchliwy (w swej działalności naukowej potrącił o prawo, antropologię, psychologię, ekonomię, archeologię!), rzucił się na zjawiska, z któremi miał do czynienia. Pierwsze jego dzieła należą do kryminologii; dopiero gdy go w zbrodniczości uderzył tak dziś powszechny fakt zarazy moralnej, zrobił z niej ogólno-społeczną zasadę naśladownictwa i dla rozwinięcia jej został socyologiem. Przy tem wszystkiem jednak nie przestał być poetą. Często, wśród najtrzeźwiejszych wywodów, naraz szydło wyłazi z worka: Tarde nie może oprzeć się urokowi jakiegoś obrazu, który mu przedstawia wszechświat jako poemat. Tak np. *), co może być — pyta — źródłem pierwotnem „powtarzania powszechnego," tego najogólniejszego faktu wszechświata? Cóż powtarza się bezustanku, zawsze świeżo i niezmącone?— Miłość. A więc należy na dnie Stworzenia przypuszczać nieprzebraną jakąś kopalnię Miłości!

Lepiej mu się zdarza: czasem wprost dosłownie — zapewne zaś nieświadomie — powtarza wśród wywodów naukowych, w formie poglądu, to, co jako obraz, powiedział dawniej w swych wierszach. Oto przykład: Ulubiona jego teorya: rzeczywistość jest tylko możliwością, przypadkiem, jak dziecię wśród płodów niedonoszonych lub zabitych. Jest to, u niego, jak u Arystotelesa, nietylko konstrukcyą logiczną; nie: „rzeczywistość daje się wytłomaczyć tylko w związku z bezmiarem możliwości, czyli konieczności warunkowej, wśród której unosi się ona, jak *gwiazda w nieskończonym przestworze*" — powiada na str. VI wstępu do „Praw naśladownictwa."

Cały ten tomik poezyj daje nam poznać naturę Tarde'a, jako gorąco mistyczną i mocno artystyczną. Fantazya jego, o ile nie buja po bezmiarach „Niepoznawalnego," z lubością i uwielbieniem zwraca się do epoki, w której te dwa pierwiastki, dla oka dzisiejszego przynajmniej, najsilniej występują: do wieków średnich. Oto jak w legendzie o „Parakleoie" (str. 170) opiewał wieki średnie:

„O epoko wielka i żywa, płodna w takie przemiany! Czasy burzliwe, spienione, które często przywoluje dusza moja; pełne studentów, wojowników, mieszczan; buntów — i cudów wierności; uniesień świat zbawiających! Moich dwoje bohaterów przyłożyło usta do waszej głębokiej czary — i serca im pękły!.."

Tarde, bądź co bądź, nie byłby poetą tuzinkowym, szczególnie pod względem głębokości uczuć. Umyślnie przytoczyłem urywek powyższy i wogóle nieco dłużej zatrzymałem się nad jego zbiorkiem, aby to wykazać. Z drugiej jednak strony, jakże chcecie, aby umysł tego rodzaju był trzeźwym, metodycznym badaczem jakiejbądź dziedziny? Jemu dusza się wyrywa do tej mozaiki podatnej, jaką były wieki średnie, mozaiki, którą od czasu do czasu wstrząsały i przewracały od góry do dołu bezmierne dreszcze porywów; a tu żądają od niego, aby spokojnie, uważnie przypatrywał się aktom społecznym epoki, która musi mu być wstrętną przez swą mierną jednostajność i brak ideałów; żeby bezustanku wnioskował i uogólniał powoli a ostrożnie, i żeby do tego więzienia wyo-

*) *Les Lois de l'Imitation*, str. 397.

W większej tedy ilości wypadków pytanie brzmieć będzie nie: „jakim jest mężczyzna," lecz: „jaką jest kobieta?" I zdaje mi się, że odpowiedzieć można: kobieta dzisiaj, więcej niż dawniej kieruje się rozsądkiem w działaniu i miłości. Stąd wynika, że ciepło, z niej płynące zmniejsza się, co znowu sprowadza, jako reakcyę, ochłonięcie mężczyzny w stosunku do niej. Współczesne wychowanie dziewcząt sprzyja powierzchownemu rozwojowi rozsądku, czyni kobietę więcej wymagającą, a nie powiększa jej uroku; podnosi się wskutek tego przeciętny poziom niewieści i poczucie własnej wartości kobiecego ogółu, lecz owe głębokie, oryginalne jednostki zanikają pod uciskiem większości, i wśród ogólnej letniej temperatury.

Zamiast nich, czas nasz wytworzył inny rodzaj kobiet, które, znajdując się pod wpływem najsilniejszych prądów epoki, są przedstawicielkami krytyki kobiecej. Nie posiadają one ani potęgi, ani uroku owych dawnych czarodziejek. Nie posiadają też ich szczęścia. Nie są szczęśliwe i szczęścia nie dają. Bo bez porównania mniej są kobietami, niż tamte. Gdzie typ ten występuje wyraźniej—otrzymujemy współczesne pisarki, których imię historya kultury zachowa i dla przyszłości. Wśród nich wyróżniać się będzie, może nawet w przyszłości, jako najcharakterystyczniejsza tego typu przedstawicielka, Anna Szarlota Edgren-Leffler.

II.

Uosabiała ruch, który z nią powstał i z nią zagasł. Znaną była daleko poza granicami Szwecyi, wśród autorek jej współczesnych odznaczała się najtrzeźwiejszym i najjaśniejszym rozumem, rzeczywistości bez trwogi stawiała czoło i wogóle niełatwo czegoś się ulękła. Jako samodzielna, znała się równie dobrze na literackiej, jak i praktycznej stronie swego zawodu. W życiu zarówno jak i w pismach broniła samodzielności kobiety. Dawną metodę, polegającą na jednaniu ludzi przez uprzejmość, zarzuciła, chciała przekonywać jako myśląca. Potępiła przysługujące kobietom prawo łaszenia się, kładła nacisk na prawo nowe, według którego wolno było zasłużyć sobie na objektywne uznanie. Była wcieleniem jasnego, trzeźwego, niezbyt subtelnego i ruchliwego rozumu. Wzorami, według których się kształciła, byli Spencer i Stuart Mill. Wolną była zupełnie od sentymentalności, wymuszoności, rozsłodyczenia, które zazwyczaj sprawiają, że utwory kobiece tak są niesmaczne i niemiłe. Jako osobowość, była dumną, prostą naturą.

W przeciągu dziesięciu lat zdobyła sobie sławę europejską; w niespełna sześć miesięcy po wydaniu na świat dziecka umarła. Wcześnie zgasła, podobnie jak sławniejsza jeszcze od niej Kowalewska, która powiernicą i przyjaciółką jej była, podobnie jak Wiktorya Benediktson (Ernst Ahlgren), rodaczka i współzawodniczka jej, podobnie, jak pisząca pod jej wpływem duńska autorka, Adda Rarnkilde, wreszcie jak młoda fińska literatka—Thedenius.

Trzy ostatnie zmarły śmiercią samobójczą, Kowalewska i Edgren skonały po bardzo krótkiej chorobie.

Edgren była najstarszą, dożyła czterdziestego trzeciego roku, pozostałe zmarły młodziej, dwie ostatnie—bardzo młodo.

Wszystkie miały jedno dążenie i pragnęły wobec mężczyzny o własnych stanąć siłach, żądały niezależności kobiety w każdym kierunku i krytycyzmu w stosunku do mężczyzny.

I Georges Sand takie miała żądania i przeprowadzała je. U niej wszakże poczucie własnej wartości przejawiało się, zgodnie z temperamentem galijskim i tradycyami jej rodziny, w tem, że bez miary kochała, że aż do znużenia czerpała z wiel-

braźni nie próbował nawet złapać trochę mgły błękitnej. Nie jest przypadkową i bez znaczenia skłonność jego do mistycyzmu, odzwierciedlania w życiu logicznych konstrukcyj, metafor miłosnych: po tych cechach poznajemy pod nowożytnym surdutem byłego urzędnika, zajmującą, ponętną dla psychologa, nieco dziwaczną postać średniowiecznego mnicha, odczuwającego głęboko to, co się w kościele i państwie chrześciańskiem dzieje, namiętnie oddanego rozmyślaniom nad początkiem i końcem wszechświata, lecz za wytyczną rozmyślań posiadającego w swej cichej celi roztrząsania Stagiryty, Platona i ojców kościoła. Gdy się słyszy tego śniadego południowca, wysokiego, przygarbionego nieco, jak głosem trochę głuchym, zdaniami urywanemi przemawia, polemizując z przeciwnikami, ma się wrażenie takie, jakby to kaznodzieja zwalczał herezyarchę. Gdy mówi o mistrzu swym, Auguście Cournot, to jakby uchylał głowy przed Tomaszem z Akwinu; gdy na zebraniu członków instytutu socyologicznego wywołał gorące oklaski samą wzmianką o Maryi Guyau, to zdawało się, że mówi jakby o męczenniku młodym, czy aniele wiedzy. Bez kwestyi, jest w tem wszystkiem źdźbło nieświadomej teatralności, która napływa u każdego francuza z głębi na powierzchnię w chwili, gdy przed paru choćby osobami usta utwiera—tak wsiąkła w każdego od dzieciństwa konwencyonalność życia publicznego i myśl o tem, że może zostać merem, deputowanym lub ministrem. Ale grunt jest szczerze taki: Tarde ma z pewnością ducha w stylu gotyckim.

Jeśli Tarde jest bez wątpienia najwyraźniejszym typem poety, który zabłądził w kraj nauki, to nie jest on z pewnością jedynym. Każdego z nich otacza pewien urok oryginalności i barwności. Szczególnie liczni są oni w socyologii, a to dzięki nieokreśloności dziedziny, niestałości i niewyraźności metod, wreszcie samemu przedmiotowi badania, tak ściśle związanemu z afektami ludzkimi. Mimo sympatyi dla nich, socyologia, jako nauka, bronić się od nich musi stanowczo. Jedyną drogą postępu dla niej — na której zresztą Tarde także uczynił kilka sporych kroków — jest ustawianie szeregów przyczynowych czysto społecznych, tłomaczenie bardziej złożonych objawów społecznych przez fakty wielce elementarne, lecz również społeczne.

Kazimierz Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY Z PARYŻA.

Poematy Le conte de Lisle'a (*Derniers poèmes*. Paryż, 1895).

Wznosił się wspaniały, dumny, spokojny, jak cedr Libanu, w błękity niebios wrastający szczytem. Jak owo drzewo królewskie, skąpane w promieniach słońca, nietknięte nigdy świętokradzkim toporem, chyba na pałac władcy. Gałęzie jego owiewało powietrze wyżyn, ku igiełkom spuszczały się obłoczki, od morza podlatywały jak motyle białe mgły. Hen w dole tuliły się po kotlinach wsie fenicyjskie, kwitły drzewa granatowe, oliwki i figi, mknęły po falach słonych lotne żaglowce. Lecz on nie spoglądał ku nim, w przestworza gwiazd zwracając oczy, w dalekie przestrzenie zapatrzony, kędy sfery tańczą i muzyka globów gra.

Nie, życie nie porznęło jego, jak lichą sosnę na tarcice, aby dać je potem stolarzowi dla zrobienia stołu kuchennego. Wiatr nizkich, codziennych pożądliwości nie złamał mu korony, ani nie oderwał gałęzi. Przez całe siedemdziesiąt kilka lat swego istnienia stał hardo i dumnie, nie rzucając wzrokiem ku godnościom, zaszczytom, odznaczeniom. Poprzestając na skromnej płacy bibliotekarza senatu, wyszedł za obręb ludzkich popędów i ambicyj. I gościł duchem w dziedzinach Piękna odwiecznego i Myśli.

Potrącił raz o życie polityczne i w roku 1871 napisał „Katechizm republikański" (ongi wziął udział w ruchach 1848 r.). Lecz z szeregów partyj i wodzów parlamentarnych wycofał się spiesznie, bo o stopy ocierały się tam jaszczurki, a na ramiona padały liszki i robactwo. Znowu wzleciał w górne sfery, oderwał się od społeczności i śpiewał ból człowieczeństwa, odwieczność jego cierpień, rzucał błyski, na dzieje pasowania się myśli z ciemnotą. Przebiegał ziemię, szukając podniosłych widoków przyrody. Genialnie odtwarzał przeszłość skandynawską, wywoływał z grobu czasy greckie, wprowadzał w dusze mędrców Indyj. Zawsze jako poeta jeden z nieprześcignionych, zawsze mistrz słowa.

W zbiorze, wydanym po jego śmierci (staraniem J. M. Heredii i margrabiego de Guerne), zawierającym utwory poezyi i prozy bądź nieogłoszone, bądź należące do epoki młodzieńczej, osobowość jego bardzo silnie zarysowuje się. Jest tam obok arcydzieł nieco rzeczy powszedniejszych, ale najważniejszą cechę książki stanowi to, iż pozwala wyrobić sobie pojęcie o indywidualności poety. Jego przedmowy z przed lat kilkudziesięciu i artykuły polemiczne odsłaniają przepysznie wielką duszę i uzupełniają obraz, jaki możemy o niej wynieść z poematów.

Rok 1852 jest datą ogłoszenia pierwszego zbioru Le conte de Lisle'a: „Poematów starożytnych." Piewca oddaje publiczności dramat „Helenę," poematy greckie „Chiron" i „Niobę," poemat indyjski „Bhagavat." Poprzedza utwory przedmową, w której sam byłby później wiele zmienił. „Od Homera — twierdzi on — Eschylosa i Sofoklosa, przedstawicieli poezyi w jej żywotności, pełni i harmonii, dekadencya i barbarzyństwo owładnęły umysłem ludzkim. Wobec sztuki oryginalnej świat rzymski stał na poziomie Daków i Sarmatów, cykl chrześciański jest cały barbarzyński. Dante, Shakespeare i Milton dowiedli tylko siły indywidualnej i wysokości *swego* geniuszu, język ich i pojęcia barbarzyńskie. Rzeźba stanęła na Fidyaszu i Lizypie."

Chociaż utwory poetyckie zjednały mu przychylnych, przedmowa ściągnęła burzę. W r. 1885, wydając „Poematy i poezye," w nowym wstępie łagodzi nieco swe poglądy. Nie o sposób łagodzenia tego nam idzie, lecz o stanowisko do społeczeństwa, określone tu bardzo jasno. Poprzednio już powiedział:

„Tak, w naszych warunkach jest się osądzonym na karę ostatecznego zatarcia swej jaźni, na odosobnienie i schronienie w grocie życia kontemplacyjnego."

Tu jego język o wiele śmielszy:

„Mało mi idzie o zwolenników i samotność mię nie przestrasza, ale urodziłem się o trzy tysiące lat za późno. Aż w dziewiętnastym wieku chrześciaństwa! Nadaremno obracam oczy ku przeszłości; widzę ją tylko przez dym węgla kamiennego, zbity w gęste chmury na niebie; darmo wytężam ucho, aby chwycić pierwsze śpiewy poezyi ludzkiej; ledwie je słyszę, dzięki barbarzyńskim wrzawom pandemonium przemysłowego."

Nienawidzę swoją opokę pod wpływem

---

kiéj krynicy życia. Pod względem prowadzenia się była jeszcze zupełnie dzieckiem *ancien regime'u*. Lecz myśląca kobieta z końca dziewiętnastego wieku zdąża ku temu, by się obyć bez mężczyzny. Ten zaś rys, spotęgowany do ascetyzmu, jest tragicznym momentem w życiu i działaniu wszystkich tych przedwcześnie zmarłych pisarek.

Przedstawię tu kilka dziwnych kartek historyi, tem dziwniejszych, że nie posiadamy jeszcze wogóle donioślejszego znaczenia literatury, dotyczącej kobiet. Wszystkie jednak utwory, które znamy z przekładów, zajmują się temi właśnie stronami życia, lub zaczepiają o nie. Z tych to rysów płynie szary, zimny nastrój, stanowiący atmosferę ostatnich dziesiątków lat, one to sprawiają, że życie towarzyskie takie jest jałowe, że wywczasy nasze takie są nudne, a uciechy — tak mroźne. Owo wielkie zło, wszędzie już widoczne, a wyślizgujące się z pod rąk, gdy je uchwycić chcemy — to zmniejszająca się intenzywność uczuciowego życia kobiety.

Czasy nasze zdążają ku rozwinięciu sądu kobiety; jednocześnie jest możność osiągnięcia tego sądu w nagromadzaniu wiadomości. Z punktu widzenia kobiecego wystarczyć by to mogło dla mężczyzny; kobiecie bowiem idzie przedewszystkiem nie tylo o to, kogo kocha, jak o to, że kocha. Kobieta atoli współczesna tak już stała się rozsądną, że nie chce kochać bez odpowiednich rękojmi, co więcej, sądzenie tak daleko jest już drugą jej naturą, że nie może kochać bez przeróżnych ubezpieczeń dla swego spokoju, pewności, dobrego bytu i bezwarunkowej czci ze strony mężczyzny.

Na tej glebie uczuciowej wszystko wzejść może, nie zakwitnie jednakże na niej nigdy miłość. Kobieta zaś normalna stworzoną jest przedewszystkiem do miłości. W mężczyźnie poczyna się jej życie i w nim się kończy. Mężczyzna bowiem czyni kobietę—kobietą. Przez macierzyństwo sprowadza na nią wielkie uzdrowienie i rozbudza w niej wielki dla siebie samej szacunek; im więcej rozwinięte są ciało, umysł i dusza kobiety, tem mniej bez mężczyzny obyć się może; on bowiem jest wielkiem jej szczęściem lub nieszczęściem, zawsze zaś jedynym sensem jej życia. Treścią kobiety jest mężczyzna.

Przystaje ona atoli na życie szczęśliwe z mężczyzną. Na nieszczęśliwe zgodzić się jednak nie chce. Sądzi, że zapomocą rozsądnej przezorności ująć potrafi nieobliczalne to życie w małe zadanie rachunkowe. A zanim zadanie rozwiąże i sprawdzi je próbą, szczęście i nieszczęście obok niej przeleci, ona zaś zostaje sama, z próżnią wewnątrz, zwiędła bez miłości, zwiędła w mądrze obrachowanem małżeństwie, zgorzkniała, pozbawiona treści wśród szczęścia bez szczęścia, lub wśród nagle spadłej na nią, nieprzewidzianej niedoli.

Taki to los opiewa owych pięć przedwcześnie zmarłych autorek. Opiewają go nie słowem pisanem, lecz własnem życiem. Wraz z Anną Szarlotą Edgren-Leffler wymarła linia tych szermierek sprawy kobiecej w Skandynawii, które niezapomniane w literaturze pozostawiły imię. Ponieważ myśli swoje zasiała między tysiące kobiet północy, a zeszła ze świata, zanim plon zniszczyć zdążyła, ponieważ dla końca naszego stulecia jest zjawiskiem typowem i postacią historyczną, niechajże wolno mi będzie portret jej skreślić dokładniej.

A gdy to czynię, zdaje mi się, że portret ten będzie trochę podobnym do obrazu, któryby ona sama, dłużej pożywszy, stworzyła.

(D. c. n.).

wstrętu, jaki budzi we mnie grożąca nieuchronnie obecnemu poecie konieczność zniżenia się do płaskich instynktów i niesmaku artystycznego, jeśli chce podobać się masom. Nienawidzę ją, nienawiścią nieszkodliwą, niestety, dla nikogo i tylko bolesną dla mnie."

Znowu upływa lat kilka; potem w roku 1864, w piśmie *Żółty karzeł* (Le nain jaune) z niezwykłą śmiałością rzuca pięć sylwetek poetów spółczesnych. Ujawnia się w nich rzadki talent krytyczny; nigdy nie czytałem sądów równie słusznych i równie uzasadnionych, jak jego, o Bérangerze, Alfredzie Vigny, Lamartinie i Auguście Barbier. I tu wypowiada szereg myśli, zasługujących na złote zgłoski.

„Sztuka, której najgoretszym i najzupełniejszym wyrazem jest poezya — to zbytek, dostępny tylko dla bardzo rzadkich umysłów." „Piękno nie znajduje się na służbie prawdy, bo zawiera samo prawdę boską i ludzką. Ono jest wspólnym wierzchołkiem, ku któremu zestrzeliwają wszystkie drogi umysłu."

„Żaden utwór ducha, pozbawiony koniecznych warunków piękna, nie może być dziełem sztuki. Co więcej, jest on złym czynem, zbrodnią, czemś haniebnie i nieodwołalnie niemoralnem."

„Niedobrze nigdy przypaść do smaku jakiemukolwiek tłumowi."

Wśród poematów niniejszego tomu niektóre, jak „Spokój bogini," „Ostatni Moori," „Rozumowania ojca św.," były ogłoszone w *Revue des deux mondes* z lat ostatnich. Odznaczają się one siłą dykcyi i o ile stanowią wyraz dusz potężnych, podnoszą się na wyżyny arcydzieł. Tak samo obrazy przyrody. Natomiast poematy i wiersze, mające dźwięczeć liryzmem, są słabsze. Nigdy poeta nie miał wdzięku i delikatności Józefa Maryi Heredii, ani tęsknoty Verlaine'a. Od „Porwania Europy" wieje zimnem tam właśnie, gdzie autor każe przemawiać dziewczątku do wołu, unoszącego ją. Natomiast wspaniały „Spokój bogów," w którym „towarzysz snów człowieka" mówi doń: „Twoje serce właśnie jest kostnicą bóstw, one zmarły, bo w twej piersi leży kamień mogilny."

Zaczerpnięte z dziejów chrześciańskich „Rozumowania ojca św." i „Cozza i Borgia," budujący dyalog dwu największych nikczemników, którzy siedzieli na tronie papieskim, są pełne ironii. „Śmierć mnicha, poemat na tle walk z albigenzami, jedna z najsilniejszych rzeczy, jakie posiada poezya francuska naszego wieku. Moc wywołania, potęga słowa i niezwykle piękne utrzymanie charakteru obu stron.

Stał mnich z biodrami przywiązanemi do pnia buku stuletniego, boso, bez okrycia głowy, otoczony milczącymi Katarami z Alby i Tuluzy. Słońce dotykało krawędzi widnokręgu, nagłe blaski oświecały purpurę ciemną nieba, a noc już zbliżała się od gór. Heretycy, okryci łachmanami, wyschnięci ze znużenia i postów, borda błąkająca się po lasach i ścigana przez stronników papieskich, patrzyła uporczywie na głowę wroga, nieruchomą, jakby zamarłą, z wydrążonemi oczami. Wreszcie wódz „Doskonałych" postąpił o krok naprzód i wyciągnąwszy ramiona ku jeńcowi, przemówił:

„Bracia, widzicie tego mnicha? On ma oblicze ludzkie, ale serce jego wilcze, kipiące wściekłością i nienawiścią. On młody, a w zbrodniach starszy od szatana. To żyjące bluźnierstwo dobrej nowiny, którą Chrystus przyniósł. Bracia! Nasza Prowansya, jak za dawnych czasów, uśmiechała się w słońcu skwarnego lata. Na wzgórkach, wzdłuż rzek, na równinach żniwa dojrzewały, śpichrze były pełne, bogate miasta kwitły pod pięknem niebem, a dusze nasze wzbijały się ku Bogu, nietknięte zepsuciem Babylonu Italii.

Lecz Antychryst rzymski z głębi pieczar swych ciemnych wypuścił wilka na naszą nieszczęśliwą ziemię. I przyszedł wyjąc z pragnienia, z oczami jak żagwie, z pianą przekleństwa na ustach, a z nim chmura żebraków i złodziei włoskich. Baronowie bezżenni, książęta nieprawego łoża, hołysze i rabusie północy i południa ciągnęli za nim, niby idąc bronić wiary Chrystusowej. Czy pamiętacie nasze miasta w płomieniach, napełnione krzykiem kobiet, starców i dzieci palonych i mordowanych, buchające dymem i popiołem? Kruki jadły matki nasze i żony na szubienicach, dziki zwierz wygrzebywał je z ziemi, a kraj jęknął, o jęknął ku Bogu głośniej od gromu.

Lecz oto jest mistrz tortur i morderca, dostał się zrządzeniem sprawiedliwości do rąk naszych. Mów więc, mnichu, godzina twojego zgonu bliska, odpowiedz, żałuj za grzechy i niech Jezus ci przebaczy w imię twych zbrodni."

Mnich słuchał, podniósłszy głowę spokojny, potem pogarda skrzywiła mu usta, wydęła nozdrza. Nareszcie:

„Słyszę szaleńca, widzę owce parszywe dalekie od pasterza płaczącego, wgłębiające się z każdą godziną coraz bardziej w śmierć żywą. Mówię wam to z litości: jęczcie, szarpcie ciało, myjcie krwią brud duszy. I może uszedłszy wieczym płomieniom po kilku milionach lat ujrzycie twarz Boga. Róbcie to, mówię, jeśli nie — to... psy uparte, mięso przyrzeczone piekłu przed przyjściem na świat, przeklęci siedemdziesiątkrotnie, wyrzutki świata, szumowiny zarazy, która wychodzi z przepaści i dymi się z gardła dyabła... Nie ociągajcie się, zabijcie. Uwieńczcie mię aureolą wybranych, czyńcie dzieło swe ślepe, nędzne resztki dusz odrzuconych. Tysiące ludzi powstanie z mego trupa krwawego i widzę teraz w oddali wieków ostatni stos, na którym ostatni z was, kacerzy, odda wiatrom niebieskim haniebne swe popioły. Zabijcie, gardzę wami!"

— Niech będzie — odrzekł „Doskonały," nieś swą duszę plugawą w paszczę węża piekielnego. Giń!

I nożem zimnym przebił serce kata Prowansyi. Lecz ten, pełen niewysłowionej ekstazy, zarzucił w tył bladą ogoloną głowę; uśmiech radości siadł na jego ustach, wzrok zabłąkał się pod sklepienia niebieskie i w długiem westchnieniu agonii szeptał:

— Światło! Miłość! Pokój! Cudne śpiewy! Witam was, nieście mię, święci anieli w niebiosa!"

Ile ironii! Zdaje się, że czuć, po czyjej stronie sympatya poety, a jednak jak ta okoliczność nie wpłynęła ujemnie na zrozumienie duszy fanatyka.

Z poezyj — „Prerya" posiada świeżość wiatru dmącego po stepie. Jest to obraz łowów na bawoły. W oceanie traw stu jeźdźców czerwonych na dzikich mustangach goni rozhukanych bizonów. Pod strzałami padają ścigane zwierzęta, trawę krew ich broczy i piana. Reszta pędzi przez skały i strumienie, dalej, dalej, tymczasem lgnąc do śladów koni białe wilki pustyni ciągną milczkiem, z wywieszonymi językami, z żądzą krwi niedobitych zwierząt w ślepiach.

„Potem wszystko to niczem nie wstrzymane, ani ujęte w więzy, ryk, okrzyki, indyanie, wilki, w przestrzeń jak wir burzy wpada, ucieka, zagłębia się i w podskokach znika."

Miłośników poezyi starożytnej spotka tu prawdziwa rozkosz: do zbioru włączono znakomite przekłady wierszem hymnów orfickich. Na greckiem tle osnuty śliczny dramat: „Apollonida." Treść jego odpowiada treści „Jona" Eurypidesa. Kreuza, żona Ksutosa, króla Aten, przed jego poślubieniem powiła syna. Ktoś nocą po kilku tygodniach unosi dzieciątko: to ojciec jego, Apollo, wziął je do świątyni w Delfach. Z Ksutosem Kreuza niema dzieci; oboje dręczeni tem udają się do Pytyi. Pierwszym, którego spotkasz — mówi Apollo królowej — będzie twój syn. Spotkanym jest Jon, kapłan świątyni. Królowa poczytując przybranie nieznanego młodziana jako następcę tronu za hańbę, wysyła starca, by go zabić, lecz próba otrucia nie udaje się i Kreuzie Jon, według wyroku sędziów, ma zadać cios śmiertelny. W chwili stanowczej Pytya odkrywa im, jaki stosunek zachodzi między nimi, syn pada w objęcia matki i uszczęśliwieni wracają wszyscy do Aten.

Pierwszy akt zwłaszcza zawiera wspaniałe miejsca; hymn na powitanie słońca, chóry kobiet i mężczyzn poją jak nektarem melodyą i poezyą. Pełnym życia, oddania się i wierności jest starzec wysyłany przez Kreuzę; Jona zaś postawiłbym chętnie obok Ifigenii Goethego. Podobnie jej dusza czysta jak lilia, w której czarę jeden pyłek nie wpadł; żywi ją tylko rosa niebios.

W. Bugiel.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Zaległości.

Inicyatorzy wielkich koncertów „popularnych" potrafili nareszcie przemówić do szerszej publiczności — program ostatniego ułożyli wyłącznie z utworów Moniuszki, dochód z opłat wejścia przeznaczyli na wydanie dzieł, pozostałych po twórcy „Halki" i stało się, że wielka sala cyrkowa nietylko zapełniła się szczelnie, ale wiele osób odeszło od kasy z próżnemi rękami.

Urządzeniem tego koncertu zajęli się pp. Maszyński, Noskowski i Zahorowski, a na wykonawców wezwali orkiestrę teatru Wielkiego, chóry Towarzystwa muzycznego, „Lutnię," oraz pannę Kozieradzką i p. Jeromina.

Ułożenie programu bogatego a zajmującego nie przedstawiało zbytnich trudności — wszak spuścizna po Moniuszce taka obfita a taka różnorodna, mimo niezatartej cechy swojskości, jaką jest napiętnowana. Mieli więc słuchacze i „Bajkę" fantastyczną, i „Modlitwę" flisaków, przemawiały do nich kolejno rzewne tony „Trenu," poważny śpiew chóru pielgrzymów, echa z krymskich gór i stepów, szczera nuta piosenki dziewczęcej i pieśń o kraju, „gdzie cytryna dojrzewa." Zapał, z jakim publiczność przyjmowała wszystkie te dzieła, natarczywość, z jaką domagała się powtórzeń, powinna być wskazówką — pewni jesteśmy, że niejeden jeszcze taki koncert „Moniuszkowski" liczyć może na powodzenie.

Śród utworów Moniuszki pomieszczono i „Utratę" Zygmunta Noskowskiego, podniosłym nastrojem nacechowaną kantatę, którą napisał na uroczystość odsłonięcia pomnika Chopina w Żelazowej Woli.

Na zeszłotygodniowym koncercie Towarzystwa muzycznego, na którym jako soliści wystąpili p. Iwanowska-Zaleska i p. Grąbczewski, zapoznaliśmy się z nowym chórem męzkim. Młode to ciało śpiewacze przedstawiło się publiczności po raz pierwszy i w wykonaniu kilku melodyj ludowych i pieśni wykazało sporo karności, wcale już wyrobione poczucie rytmu i cieniowania.

Repertuar operowy karmi nas ciągle, potrąciwszy Thomasowskiego „Hamleta," dobrze znaną strawą. I nie byłoby powodu użalać się, wszak to repertuar, obejmujący „Don Juana," „Fausta," „Żydówkę," „Carmen" — gdyby siły wykonawcze odpowiadały wartości dzieła.

Prymadonną goszczącej u nas trupy jest p. d'Arneiro. Artystka to młoda, głos ma ładny, o dźwięku szlachetnym, szkołę dobrą, ale w śpiewie jej mało jeszcze indy-

widualności — zrozumie intencye kompozytora, odda je wiernie, ale samodzielnego nic z odtworzonej postaci wykrzesać nie potrafi, duszy w nią wlać nie zdoła. O p. Guercia wypadłoby nam chyba powtórzyć to, cośmy po przedstawieniu „Hamleta" o niej powiedzieli. Niech sobie teraz czytelnik wyobrazi „Carmen" z takiemi danemi, a raczej z takimi *brakami*, albo Siebla (w „Fauście").

Ze śpiewakami lepiej jakoś nam się wiodło. Szereg występów p. Warmutha (tenora) miał istotne a zasłużone powodzenie. Po niezbyt fortunnych, przed laty, debiutach artysty na naszej scenie, obecna jego gościna zgotowała słuchaczom miłą niespodziankę. Głos jego wzrósł w siłę, wyrównał się, śpiewak unika krzykliwych efektów, zapewniających łatwy poklask, a przytem i gry aktorskiej nie zaniedbuje. Do najlepszych ról artysty zaliczylibyśmy Eleazara („Żydówka"); nie rozumiemy tylko, dlaczego skraca swoją partyę, z jakiego powodu opuszcza, między innemi, ostatnią część słynnej aryi (Rachelo, kiedy Pan...) w akcie trzecim? Chyba nie dla braku zasobów wokalnych.

Z kilku występów p. Górskiego (barytona) wnioskować można, że debiutant ten, obdarzony bardzo pięknym głosem, przy dalszej pracy zajmie wybitne miejsce w rzędzie śpiewaków operowych. Zdaje nam się tylko, iż powinien unikać ról o zakroju bohaterskim, jak toreador w „Carmenie"; i rodzaj głosu, i temperament artysty bardziej, zdaniem naszem, ku liryzmowi się skłania.

Pani Konarska pożegnała scenę warszawską, udając się na dalsze studya do Paryża. Czyn to godny uznania, dowodzący, że utalentowana śpiewaczka nie wzrosła w zbytnie o sobie mniemanie, pomimo zasłużonych tryumfów, jakie święciła w „Halce."

Br. N.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Mowa posła d-ra Bobrzyńskiego. — Otwarcie roku szkolnego w uniwersytecie. — Biblioteka Jagiellońska. — Żegota Pauli. — Regulacya miast i miasteczek. — Bank związkowy Towarzystwa zaliczkowego. — Towarzystwo rybackie.

Mowy, mowy i mowy tylko rozbrzmiewają dokoła: powitalne, pożegnalne, dziękczynne, pochwalne. Od paru tygodni Kraków dziś wita, jutro żegna. Echa wyborcze mieszają się z odgłosem tych szumnych przemówień. I p. Bobrzyński stanął z programem przed swymi wyborcami, a koszty jego mowy ponosiło... znowu nauczycielstwo ludowe. Czy ono ma, czy może mieć co wspólnego z mandatem poselskim... Czy czas i miejsce były po temu, czy zresztą wypada publicznie roztrząsać zwierzchnikowi działalność podwładnych sobie urzędników? Nad tem nie zastanawiał się p. Bobrzyński; skorzystał tylko z nadarzającej się sposobności, aby dać upust wezbranej goryczy i raz jeszcze potrącić o nieszczęsną petycyę, wniesioną do Rady państwa, aby napiętnować publicznie ten nieczny czyn, którego wspomnienie widocznie nie daje mu spoczynku i dowieść, że jest następstwem zgubnych prądów wywrotowych, siejących gorycz i niezadowolenie między nauczycielstwem. Prądami tymi otumaniono, staje się ono skłonnem do przesadnego wynoszenia swego zadania i stanowiska, do jakichś nadzwyczajnych roszczeń. Z mowy tej skorzystało nauczycielstwo przynajmniej tyle, że wie już teraz, komu ma zawdzięczać, iż prośby jego i tym razem nie uwzględniono... Bobrzyński sprzeciwiał się w sejmie zalutwieniu wniosków o polepszenie płac nauczycieli — i to wyznał przed wyborcami w swej mowie programowej; sprzeciwia się, nie chcąc obciążać budżetu i narażać na szwank życzliwości, jaką się cieszy szkoła w obecnej dobie.

Nowy rektor, profesor Stanisław Smolka, uroczystem przemówieniem powitał uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego i pierwszym wykładem rozpoczął rok szkolny. Coraz większa liczba kobiet kołata do wrót wszechnicy. Dotychczas na podania tych krakowianek, które prosiły o pozwolenie słuchania wykładów literackich, odpowiedziano nieprzychylnie, tłomacząc odmowę tem, że *panowie profesorowie*, wymienieni w podaniach, nie przychylają się do ich prośby. Czy inni panowie zgodzić się zechcą... niedaleka przyszłość pokaże.

Pod innymi względami uniwersytet rozwija się pomyślnie; rok ubiegły do lepszych lat w historyi jego zaliczyć można: utworzono kilka nowych katedr, wyposażono lepiej niektóre z istniejących, uzyskano fundusze na ukończenie budowy i wewnętrzne urządzenie *Collegii medici*. Fundacya Kazimierza Ratulda posłuży na wybudowanie obszernej sali do wykładów uniwersyteckich i popularnych, ogarnie większą liczbę słuchaczów. Senat nabył w tym roku szkic Jana Matejki, przedstawiający apoteozę XII w., dla umieszczenia w sali uniwersyteckiej. Liczba profesorów i docentów wynosi 97, wraz z asystentami 141. Liczba słuchaczów na wszystkich wydziałach w półroczu zimowem 1,304, w lecie 1,230. Zakład weterynaryi oczekuje odpowiedniejszego pomieszczenia, wydział filozoficzny potrzebuje niektórych nowych budowli, dla lekarskiego niezbędne są kliniki: wewnętrzna, położniczo-ginekologiczna i okulistyczna.

Biblioteka obejmuje 224,744 dzieł w 300,029 tomach, 1,731 atlasów i map, 7,730 rycin, 3,222 nut, 5,321 rękopisów w 6,755 tomach, 9,483 medali i monet, 267 dokumentów. Do tej liczby nie są zapewne włączone książki, które nieskatalogowane, nieułożone nawet, zalegają od lat kilku półki, czekając litościwej ręki, któraby je uporządkować zechciała.

Niedawno Biblioteka poniosła dotkliwą stratę: umarł Żegota Pauli. Obdarzony olbrzymią erudycyą i pamięcią niezwykłą, był zwany „chodzącą biblioteką"; godny następca prędko się nie znajdzie. Z Paulim zeszedł do grobu gruntowny znawca wszystkiego, co się do przeszłości odnosiło; był on też jednym z pierwszych przed Kolbergiem, którzy kładli fundamenty pod gmach etnologii polskiej. Wędrował po całym kraju, badał obyczaje ludu i zbierał materyały etnograficzne; olbrzymią tę pracę wykonywał w najtrudniejszych okolicznościach. Zasługą jego niemałą jest wydobycie i przedrukowanie wielu pomników literatury naszej i historyi. Pracował też z polecenia uniwersytetu Jagiellońskiego nad wydawnictwem „Kodeksu dyplomatycznego" i „Album studiosorum." W ostatnich latach był historyografem wszechnicy, współpracownikiem „Wiadomości numizmatycznych" w Krakowie, członkiem kilku uczonych Towarzystw zagranicznych. Notatki jego i wyciągi z czytanych druków i rękopisów dowodzą rzadkiej wszechstronności i pracowitości; rozporządzał przytem pamięcią nadzwyczajną.

Wrzawą wyborczą przygłuszone, umilkły na czas niejaki wszelkie inne odgłosy życia; obecnie dają się słyszeć znowu, powstają projekty świeże, odgrzewają się stare. Towarzystwo zaliczkowe pragnie i w tym roku, jak w latach przeszłych, urzeczywistnić plan założenia Banku związkowego. Już oddawna dąży ono do tego... naprożno.

W ostatnim okresie starano się nadać Bankowi formę spółki akcyjnej. Ułożono i uchwalono statut, zebrano nawet podpisy na dość znaczny kapitał akcyjny. Do otworzenia instytucyi potrzeba było koncesyi rządowej i tej nie otrzymano. Obecnie postanowiono nadać Bankowi formę stowarzyszenia udziałowego i oparto statut na innych zasadach. Nowe podpisy powiodły się.

Z grona architektów krakowskich dochodzą głosy, domagające się regulacyi miast i miasteczek. W miastach średnich wszystkie prawie ulice nieprawidłowo się rozwijają, bez uwzględnienia warunków hygienicznych, komunikacyjnych, praktyczno-handlowych, estetycznych i bezpieczeństwa; budynki stawiane są w miejscach, zamykających możność wytworzenia przecznic, nowych ulic i placów. Wnioskodawcy proszą sejm, aby wydał ustawę przymusu regulacyi dla miast i miasteczek, z uwzględnieniem wszelkich warunków, które dotychczas lekceważono. Większość miast nie korzysta ze swej autonomii tudzież swobody osobistej i ważną tę sprawę zaniedbuje. Wydział krajowy powinienby więc utworzyć biuro dla regulacyi miast, któreby kolejno wypracowywało zdjęcia i projekty, skanalizowania i wyrównania z uwzględnieniem stosunków handlu, przemysłu, nie pomijając cech obecnych i historycznych, jako też miejscowych właściwości miast. Wnioskodawca w obawie, aby projektu jego nie odrzucono ze względu na budżet obciążony, pomyślał i nad tem, jakby ten szkopuł ominąć; miasta winny wyrównać należytość za zrobiony i zatwierdzony obowiązująco plan regulacyjny w kasie Wydziału krajowego, w takim stosunku procentowym do liczby mieszkańców i podatków, aby koszty nie przekraczały wartości technicznej pracy każdego planu, a zwrot ciężaru, na kraj nałożonego, żeby zapewniono przynajmniej w większej części. Biurom kierować winni doświadczeni technicy, architekt, inżenier i geometra. Czy sejm uzna tę sprawę za naglącą?..

Towarzystwo rybackie w Krakowie, pragnąc podnieść bogactwo Wisły, wpuszcza do niej corocznie znaczną ilość zarybków łososia z wielkimi kosztami a małym zyskiem. Dla stworzenia skuteczniejszej gospodarki porozumiewało się ono ze stowarzyszeniem niemieckiem w Berlinie i rosyjskiem w Petersburgu. Następstwem tego będzie wkrótce zjazd przedstawicieli owych instytucyj we Wrocławiu. Towarzystwo krakowskie postanowiło wpuszczać do Wisły corocznie nie kilkaset tysięcy, jak dotychczas, lecz półtora miliona zarybku.

Ar.

DRUGA KATEDRA FILOZOFII WE LWOWIE.

Od niedawna uniwersytet lwowski posiadał dwu profesorów filozofii — co jednak wcale jeszcze nie pociągało za sobą stałego istnienia dwu *katedr*. Dopiero po ustąpieniu jednego, p. Raciborskiego, powstała kwestya, czy będzie zastąpiony i czy w ten sposób rząd uzna potrzebę dwu katedr filozofii. Wydział wniósł do ministeryum propozycyę zamianowania na miejsce ustępującego prof. Raciborskiego, młodego prywatdocenta uniwersytetu wiedeńskiego, Kazimierza Twardowskiego, zaszczytnie znanego z sumiennych monografii na polu historyi filozofii *) i logiki **) i z kilku artyku-

*) *Idee und Perception*, eine erkenntnisstheoretische Untersuchung aus Descartes. Wien, 1892.

**) *Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen*. Wien, 1894.

łów filozoficznych, po polsku napisanych w *Przełomie*. Autor tych prac ma zaledwie lat 29 i dopiero w r. 1891 skończył uniwersytet w Wiedniu, poczem pozyskał stypendyum zagraniczne na pobyt jednoroczny w Niemczech. Udał się w r. 1892 naprzód do Lipska, potem do Monachium. Po powrocie do Wiednia doktoryzował się, a we dwa lata później otrzymał pozwolenie na wykłady filozofii, jako docent prywatny wszechnicy wiedeńskiej. Wykładał logikę w ciągu półrocza zimowego 1894—5, podczas zaś następnego—teoryę nieśmiertelności. Uzdolnienia powyższe mogłyby się zdawać niewystarczającemi dla objęcia profesury, gdyby nie okoliczność, że p. Twardowski posiada istotne powołanie filozoficzne, i zdolność wykładu, dzięki której już w ciągu pierwszego roku swej działalności akademickiej pozyskał sobie pokaźne audytoryum. Znane w ministeryum te zalety młodego filozofa sprawiły, że propozycyę wydziału lwowskiego przychylnie przyjęto i obecnie zatwierdzono. W ten sposób druga katedra filozofii w uniwersytecie lwowskim jest *usystemizowaną*, jak mówią galicyanie, przez co Lwów wyprzedził Kraków, posiadający wprawdzie dwu profesorów, ale nie dwie katedry filozofii. Jeśli weźmiemy pod uwagę smutną okoliczność dziwnego zaniedbania filozofii w uniwersytetach galicyjskich i doniosłość wykładów tego przedmiotu, szczególnie zaś logiki dla podniesienia wykształcenia młodzieży wogóle — to trzeba przyznać, że uniwersytet lwowski powołaniem prawdziwego filozofa na tak ważną katedrę zasłużył na uznanie i wdzięczność ogółu. Brak logiki i logików daje się dotkliwie odczuwać w naszem społeczeństwie. Jedyne dzieło tej treści, na większą skalę przedsięwzięte 25 lat temu przez H. Struvego, nie mogło być wydanem wskutek obojętności społeczeństwa na tego rodzaju prace. Ci, którzy dotąd posiadali katedry filozofii w Galicyi, zajmowali się raczej wszystkiem innem, ale nie logiką. To też spostrzegamy szczególne zjawisko, uwydatnione już w r. 1870 przez Struvego: podczas kiedy wśród filozoficznych badań polskich prace logiczne najwięcej miejsca zajmują, brak nam dotąd zupełnie oryginalnego opracowania logiki. Największy nawet wróg nauk filozoficznych nie ośmieli się dziś twierdzić, że ona jest zbyteczną w wykształceniu młodzieży. Naród angielski, przodujący innym na wszystkich prawie polach działalności ludzkiej, choć w filozofii mało zrobił, najwięcej czasu poświęca na nauczanie logiki w szkołach średnich i wyższych. Kto wie, ile powodzeń rozmaitych zawdzięczają Anglicy dbałości o wykształcenie tego rodzaju! Rozwiązywanie zadań logicznych z zakresu pośrednich i bezpośrednich wniosków nie jest wcale dla młodych chłopców mniej zajmującem, niż rozwiązywanie algebraicznych i geometrycznych, a ma daleko więcej zastosowań praktycznych. Ktokolwiek, sam będąc logikiem, słucha z uwagą rozmowy przeciętnych warszawiaków, co chwila odczuwa ból, jaki mu sprawia fałszywe uogólnienie, odwrócenie prosto ogólno twierdzącego sądu, i tym podobne zboczenia. Miejmy nadzieję, że prof. Twardowski, jako logik, odważnie wypowie walkę uprzedzeniom ludzi, pozbawionych logicznego wykształcenia i nauczy swoich słuchaczy, ile wniosków interesujących wypływa z prostego Sa P — czyli wszystkie S są P. Gdybyśmy wszyscy w młodości odbywali ćwiczenia logiczne, nasze polemiki daleko prędzej prowadziłyby do celu i łatwiej byłoby osiągnąć i ową jednogłośność, do której mamy dziedziczne przywiązanie, wcale nie dbając o środki do niej prowadzące.

W. Lutosławski.

PAMIĘTNIK.

Sądny dzień giełdy.

Nad Europą przelatuje obecnie szalona burza. Skutkiem wstrząśnień politycznych w Turcyi, grożących wojną, na wszystkich giełdach zaczęły gwałtownie spadać papiery publiczne. Ponieważ zaś te sztuczne wylęgarnie, w których z papierowych jaj bez kury wykluwają się złote kurczęta, ponieważ — mówię — te mnożarnie pieniędzy bez pracy są zawsze przybytkami gry, więc ile razy świat drgnie jakimś dreszczem, w nich natychmiast spadają cegły z sufitu i rozbijają głowy „nieszczęśliwym." Dopóki na całej kuli ziemskiej, a przynajmniej w jej „miarodajnych" częściach panuje pokój, zdaje nam się, że ludziska pracują, zbierają ziarnka oszczędności do swych miarek, a spekulacyami giełdowemi trudni się zaledwie garstka próżniaków, amatorów łatwego zarobku i silnych wrażeń. Dopiero gdy ten pokój zamąci się, krzyk bankrutów przekonywa nas, jakie to ogromne masy biorą udział w grze giełdowej. Taki właśnie widok przedstawił nam się obecnie. Gdy na południo-wschodzie pojawiła się gradowa chmura, w tej chwili z jasnego nieba zaczęły walić pioruny w Anglii, Francyi, Austryi, Niemczech, które druzgotały i objęły ogniem tysiące „firm solidnych" i kapitalistów prywatnych. Daremnie Rotschild próbował zażegnać pożar, daremnie starał się go ugasić i uratować płonące „domy" zapomocą olbrzymiej sikawki, która wyrzuciła 50 milionów fr. na „rynek;" gromy dalej biją, pożar się rozszerza, a z wielu „domów" w Paryżu, Londynie, Wiedniu, Berlinie pozostały już tylko zgliszcza.

W wielkim świecie finansowym my stanowimy małą i ubogą parafię, więc naturalnie nie mogły się u nas walić kolosy pieniężne, a jeżeli tam ktoś stracił na „turkach" kilka tysięcy rubli, to siedzi cicho i ogryza kostki ażiotażu, na których jeszcze jest trochę mięsa. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności pierwsze grzmoty burzy giełdowej odezwały się u nas, chociaż nie miały nic wspólnego z chmurą turecką. Gdy zaciekła gra akcyami doszła do najwyższego punktu, ministeryum skarbu nagle podniosło stopę procentową w swych bankach i przez ograniczenie kredytu zaczęło wycofywać środki, którymi spekulacya posługiwała się w swych obrotach. Nagle pieniądz zdrożał, gotówki zabrakło, a tu trzeba było pokrywać różnice kursów i zobowiązania gry! Nie się tak szybko nie pruje, nie tak gwałtownie nie spada, jak się pruje tkanina ażiotażu, jak spadają sztucznie podniesione kursy papierów wartościowych. To też w ciągu tygodnia w naszym światku finansowym zaszły następujące fakty:

1) akcye, za które płacono tysiące rubli, wyprzedawano po setkach;

2) ludzie, którzy obracali (na papierze) milionami, pozostali bez butów;

2) szczęśliwsi i przezorniejsi, którzy nie mieli butów, myślą teraz o sprawieniu sobie karet.

Najbardziej ucierpiała t. zw. „kulisa" giełdy. Są to próżniaki, mający nieraz całego majątku 300—500 rs., którzy naturalnie mogą żyć tylko rybami, łowionemi w mętnej wodzie ażiotażu. Jeżeli taki „bankier" zdoła kilka razy „obrócić" wielkie sumy „dobrym nosem," to na kilkakrotnej korzystnej sprzedaży akcyj, których może nigdy nie widział, a w każdym razie nigdy „efektywnie" nie posiadał i tylko zadatkował, zarobi kilka tysięcy rubli. Gdy więc te akcye nagle zaczęły spadać, a on musiał pokryć ogromne różnice ich kursu, nietylko stracił owe 300—500 rs., ale został dłużnikiem sum, których przez całe swoje życie nie zapłaci. Tych nędzarzów ma być dość spora gromada. Wielu jest również takich, którzy postradali w grze dość znaczne majątki i dziś rozmyślają o... kosztowności całych butów. Wielu wreszcie takich, którzy z pożaru coś uratowali na dalszy dorobek i siedzą cicho, zapewniając, że przy tym ogniu nawet się nie sparzyli. Naturalnie, pieniądz nie utonął, lecz przepłynął do innych kieszeni. Niektóre, prawie puste, wypełnił podobno obficie. Mówiono nam, że szczęśliwi gracze wynieśli z walki po 100—200,000 rs., nie mając przedtem dziesiątej części tej sumy.

I nasza więc giełda miała swój sądny dzień, a dotąd słychać w niej jeszcze jęki i płacze pokutników, których porwał dyabeł ażiotażu.

Sprzedaż rabatowa.

Świat kupiecki w Warszawie używa znanych powszechnie przynęt, jak np. określanie danej ilości towaru, przy której nabyciu czynione są niby ustępstwa w cenie, umieszczanie w oknach sklepowych różnych przedmiotów np. za rubla lub 60 kop. Nazwałbym to psychologią handlu, gdy nie żal był profanować tego określenia. W widzu wszakże grają tu istotnie pobudki psychologiczne. Spostrzegłszy np. za rubla sakiewkę, scyzoryk, nożyce, laskę, pudełko, lusterko, wstępuje do sklepu żeby skorzystać z okazyi i kupić coś z wybranych rzeczy, chociaż w innym wypadku mógłby je nabyć za cenę o połowę niższą. To samo dzieje się przy różnych loteryach fantowych, gdzie np. za 25 kop. można wygrać wykałaczkę do zębów lub karmelek; ale szczęśliwy gracz nie czuje wyrzutów sumienia, że zmarnował trochę pieniędzy, chociaż w zwyczajnych warunkach przepłacenie paru groszy już by go bolało. To samo wreszcie można powiedzieć o innych „okazyach": terminach przedświątecznych, wyprzedażach i t. d. Spożywca kupuje lichy towar względnie za wysoką cenę i niesie do domu, zadowolony, że mu się udało taki dobry interes zrobić. Tę spekulacyę, opartą na złudzeniach ludzkich, możnaby grzecznie nazwać lekkiem oszustwem. Najbardziej jest rozpowszechniona sprzedaż rabatowa, ale równie pozorna. Tymczasem zagranicą, przy dobrze zorganizowanym handlu, daje ona wielką dogodność ogółowi konsumentów, zwłaszcza gdy grupami zawiązują stosunki z fabryką lub sklepem. To też każde prawie stowarzyszenie ma tam istotne ustępstwa, które szczególnie udzielają chętnie związki spożywcze, rozumiejące dobrze swój interes. U nas, jeżeli się nie mylę, jedno tylko Towarzystwo pracowników handlowych i przemysłowych zaczęło zdobywać dla swych członków takie ustępstwa i dotąd otrzymało od różnych kupców kilkanaście ofert, dających zniżkę od 5 nawet do 30%. Są to wszystko przedmioty niezbędne, jak książki (10—20%), materyały apteczne (10%—trochę za mało), węgiel (10%), z dostawą do domu (10%), galanterya (10%) i t. d. Życzyć należy iżby ta próba weszła w zwyczaj stały i nie ograniczała się tylko do jednego stowarzyszenia, a co ważniejsza—aby ustępstwa były rzeczywiste.

Telefony.

Kiedyś zaznaczyłem na tem miejscu brak uprzystępnienia telefonów dla publiczności. Abonentami mogą być tylko instytucye różne, zakłady przemysłowe lub handlowe i w ogóle ludzie zamożni. Zwyczajny śmiertelnik nieśmiało wchodzi do sklepu z prośbą o udzielenie mu aparatu na chwilkę. Jest to położenie bardzo przykre, bo przechodzień taki w każdej chwili może słusznie oczekiwać odmowy, a przynajmniej oznak chociaż lekkiego niezadowolenia. Dla usunięcia tej drażliwości, radziłem, aby właściciele tele-

fonów pobierali jakąś drobną opłatę za prawo rozmowy; do tej zaś propozycyi skłonił mię wypadek zażądania w pewnym sklepie dziesięciu groszy za taką usługę. Pewna dystrybucya poszła jeszcze dalej bo oto obok aparatu umieściła puszkę z napisem: „Na szpital dziecięcy.“ Jest to przykład, zasługujący na jaknajszersze naśladownictwo, bo prócz tego że usuwa obustronną drażliwość, przynosi jeszcze pewien pożytek społeczny. Warszawa jest uważana za miasto próżniaków. Nie brak ich nam istotnie, ale znaczna większość mieszkańców—to są ludzie pracujący ciężko i gorączkowo, którym każda chwila jest drogą. Dla tych właśnie tłumów wielotysięcznych, uprzystępnienie komunikacyi telefonowej jest wielce pożądane; więc jakkolwiek oddanie aparatów prywatnych na użytek publiczny za opłatą drobnych kwot na cele dobroczynne, będzie już udogodnieniem znacznem, nie odpowie atoli całkowicie potrzebom istotnym. Skoro zniżenie nazbyt wysokiej ceny abonamentowej jest niemożliwe, pomimo że byłoby z pożytkiem dla przedsiębiorstwa i ogółu, to należałoby przynajmniej stworzyć liczne stacye dla użytku publicznego za opłatą kilkokopiejkową od rozmowy jednorazowej.

—*p.*—

Praca nieprodukcyjna.

W rozporządzeniach władz wyższych widzimy pewien pomyślny zwrot: uproszczenie zbyt złożonej pracy kancelaryjnej, polegającej na niepotrzebnem pisaniu. Zaczęto od poczty, na której pokwitowania korespondencyi poleconej znacznie skrócono, ku wygodzie publiczności urzędników i samej instytucyi. Obecnie p. minister sprawiedliwości kazał wprowadzić skrócenia w aktach i korespondencyi sądowej. Reforma taka przydałaby się również i w biurach prywatnych, a zwłaszcza kolejowych. Urzędnicy, szczególnie zaś tak zwani „podzienni pisarze,“ „kantorzyści“ i w ogóle dyetaryusze, dyżurujący po całych dniach i nocach, upadają ze znużenia. Oderwanie się jednej plomby od wagonu towarowego pociąga za sobą niezliczoną korespondencyę, protokoły wyjaśnienia i t. d. Przy pośpiechu zdarza się niedokładne wyświetlenie takiej „sprawy,“ więc nowe pytania i wymiana korespondencyi, czasem wymówki czynione przez starszyznę i—kary. Gromadzą się stosy papierów, kilka plomb oderwanych lub parę funtów skradzionego towaru, tworzą całe archiwum w ciągu paru tygodni. Czyżby nie było sposobu uproszczenia tych robót? Wszak koleje oszczędziłyby sobie wydatków na papier i druki, a biuralistom — pracy niepotrzebnej i nieprodukcyjnej. —z.—

Monopol.

Dowóz bydła na rzeź do Warszawy znajduje się w ręku kilku kupców, mieszkających w Brześciu Litewskim. Spokrewnieni pomiędzy sobą i zaprzyjaźnieni, stanowią oni klikę, działającą solidarnie. Próbowano już parokrotnie przełamać ten *ring*, ciążący nad spożywcami naszej stolicy i przyczyniający się do podrożenia mięsa, ale dotychczasowe usiłowania spełzły na niczem. Handlarze, którzy chcieli na własną rękę dowozić bydło do Warszawy, napotykali zawsze tyle przeszkód ze strony monopolistów, że dawali za wygraną, otrzymana bowiem cena nie pokrywała kosztów i mitręgi.

Starszy zgromadzenia rzeźników warszawskich zawiadomił świeżo naszą prasę o następującym wypadku:

Pewien ormianin zakupił w obwodzie dońskim partyę 180 wołów. W drodze do Warszawy zakwestyonowano jej przewóz w Brześciu Litewskim. Dopiero po kilkodniowych staraniach udało się tam pozyskać pozwolenie na dalszy jej transport. Zachęcony przedsiębiorca kupił na sprzedaż do Warszawy 80 wołów w obwodzie kubańskim. W Brześciu robiono mu znowu trudności, wreszcie po kilku dniach bez wyładowania wołów z wagonu, puszczono go dalej. W Miłosnie nakazano cofnąć towar do Brześcia, tam zaś dano do wyboru albo wrócić z wołami, skąd przybyły, lub zarznąć je i mięso posłać do Warszawy. Handlarz, nie obeznany ze stosunkami miejscowymi, sprzedał je — monopolistom!

Z tego powodu starszy zgromadzenia rzeźników pyta: 1) Dowóz bydła na rzeź do Warszawy w stanie zdrowym dozwolony jest ze wszystkich miejscowości Cesarstwa, woły zaś ormianina nie były chore, skoro je po dozorze wypuszczono. Nadto ani jeden bez dokładnego obejrzenia przez miejscowego weterynarza nie ma wstępu na targowisko praskie. Dlaczego więc kolej czyniła w Brześciu trudności? 2) Dlaczego zwróciła ona je z Miłosny do Brześcia? 3) Jeżeli Warszawa zaopatrywana jest w woły wyłącznie z Brześcia, to dlaczego nie wolno było ormianinowi przywieźć ich do naszego miasta, a natomiast pozwolono mu wysłać mięso?

Jedno z pism codziennych odpowiada trafnie, że nie dozwolono na ten przywóz, bo mogłoby to wywołać zniżkę w Warszawie i tem samem zaszkodzić interesom kilku monopolistów, mających handel w swem ręku.

W DALI.

Płock. Otwarty będzie w mieście dom zarobkowy na wzór warszawskich; otrzyma dwa oddziały męzki i żeński. Roboty zimą trwać będą od 8-ej z rana do 6-ej, a latem do 8-ej wieczorem, z 2-ma godzinami obiadowemi od 12-ej do 2-ej. Za robotę pracownicy otrzymywać mają po 15—20 kop. dziennie. Obiad 3 kop., nocleg 4. Początkowo w prowadzony będzie w oddziale żeńskim: wyrób koszów z łozy zielonej i trzciny; słomianek, mat i torebek papierowych. Na kupno narzędzi i sprzętów niezbędnych przeznaczono 433 rs. 90 kop. Pijani nie będą mieli wstępu do przytułku. Nowa instytucya ma być otwarta w bieżącym miesiącu.

Radom. W Końskich od sześciu lat istnieje instytucya dobroczynna, mająca na celu wspieranie ubogich chorych kobiet. Miasto podzielono na sześć okręgów i oddano je pod opiekę kobiet miejscowych „z towarzystwa.“ Zrazu bawiło to je, ale nowość prędko spowszedniała; panie te nie wypełniają obowiązku, dobrowolnie przyjętego, więc organizacya, z początku rozwijająca się pomyślnie, zaczyna zanikać. Radom pod każdym względem usiłuje naśladować Warszawę, więc pomimo nadzwyczajnego wzrostu liczby domów, właściciele podnoszą komorne i trzymając puste lokale, czekają cierpliwie na zamożnych. — Lekarze miejscowi wnieśli podanie do władzy o zatwierdzenie ustawy Towarzystwa lekarskiego. — Uzyskano pozwolenie na zbieranie składek śród mieszkańców gub. radomskiej dla pogorzelców osady Lasocin w powiecie opatowskim. Pożar d. 16 października zubożył tam 70 rodzin. — Cykliści radomscy starają się o utworzenie własnego towarzystwa.

Mińsk. Z ważniejszych spraw, nad któremi obradowali ziemianie przy końcu zeszłego miesiąca w Tow. rolniczem, jest wniosek stworzenia syndykatu na wzór świeżo zorganizowanego w Witebsku. Projekt ten, podany przez wiceprezesa. p. Woyniłłowowicza, znalazł powszechne uznanie. Przy tem p. E. Obrąpalski zaproponował otwarcie w Mińsku biura komisowego na wzór zagranicznych. Zadaniem jego powinna być sprzedaż komisowa zboża i innych produktów przy zaliczkach bankowych na zastaw towarów. W razie pomyślnego rozwoju, mogłoby ono nabywać produkty na własną rękę podejmować się prywatnych i skarbowych dostaw zboża i t. d. Nadto, trzeba otworzyć w Mińsku hurtowy sklep kolonialny, który mógłby przyjmować towary na sprzedaż komisową i na własne ryzyko. Wreszcie — otworzyć w temże mieście skład machin i narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, żelaza i t. d. Istnienie podobnego składu przy Towarzystwie nie jest wystarczające; daje on bowiem przedmioty drogie i niedobre, a nie posiada bardzo wielu ważnych i potrzebnych. Ale czyż dla tego trzeba otwierać nowy skład? Możeby się dało te braki usunąć w dawnym? Hr. Karol Czapski zaproponował dopuszczenie kobiet do zebrania Towarzystwa rolniczego. Wprawdzie zapisało się kilka uczestniczek, ale nie mają one dotąd niemal żadnych praw i znaczenia. Projekt ogólnie przyjęto. Przy Towarzystwie ma powstać sekcya pracy kobiet, z uwzględnieniem głównie gospodarstwa domowego, hodowli drobiu i t. d.

Petersburg. Zwrócono uwagę na potrzebę udogodnień komunikacyjnych między Rosyą a Persyą. Przedewszystkiem będzie przeprowadzona droga bita od Astary na Ardebil i Tauriz. Przejdzie ona przez terytoryum, należące do Persyi o ile możności najdalej od jej granicy wewnątrz kraju. Nadto projektowana jest droga od Astary wzdłuż brzegu morza do wyspy Sang w pobliżu Lenkoranu, ażeby towary idące z Rosyi do Persyi podczas pogody burzliwej, mogły korzystać z „rejdu“ Saryńskiego.—Zatwierdzono budowę portów w Tuapse i Soczy. Tuapse jest jeden z punktów na wschodnim brzegu m. Czarnego w przyszłości zapewne stanie ważnem miejscem handlowem. Warunki bardzo są dogodne ze względu na to, że port jest zakryty z północnej i północno-zachodniej stron wysokim przylądkiem, a nadto połączony drogą bitą przez Majkop z całym Kaukazem. Obecnie statki tam się zatrzymują na kotwicy, a komunikacya z brzegiem odbywa się za pomocą łodzi. Pomimo to jednak, wychodzi stamtąd co rok 100,000 pud. ziarna, wina oraz materyałów leśnych.—R. 1858 w Petersburgu zawiązało się towarzystwo akcyjne dla udzielenia ciepłych mieszkań robotnikom. Posiadało ono kapitału 200,000 r. podzielonych na 8 tysięcy akcyj po 25 rs. każda. Na schyłku roku ubiegłego towarzystwo miało już w posiadaniu swojem domy, przedstawiające wartość 500,000 rs. i nadto kapitał zapasowy 25,000 rubli. Akcye przynosiły $4^1/_2$% rocznie, w r. 1894 dewidenda 5%. Stowarzyszenie nie poprzestając na tem, wypuszcza nowych 32,000 akcyj po 25 rs. na sumę 800.000 rubli.

SPRAWY EKONOMICZNE

DELEGACYA PRACY KOBIET.

II.

Przy Towarzystwie pracowników handlowych i przemysłowych istnieje „wydział damski“ (od roku 1894), który przyszedł do przekonania, że kobiety nasze nie posiadają praktyki odpowiedniej, że śród nich można nieraz znaleźć doskonałe buchhalterki, ale nie ekspedyentki. Wobec tego wydział postanowił przyjść z pomocą interesowanym; kołatał do tak zwanych „firm poważnych“ o przyjmowanie pracownic na praktykę, nie wiele wszakże znalazło się chętnych, być może skutkiem uprzedzenia. Ten sam komitet uznał również za konieczne rozszerzenie wykształcenia elementarnego śród dziewcząt sklepowych. Ale ponieważ do rozwinięcia tego projektu w czynie nie ma podstaw prawnych, więc wydział odwołał się do delegacyi o pomoc i tym sposobem dwa stery spraw niewieścich zbliżyły się ku sobie, wprawdzie bezskutecznie na razie, ale łączność taka w przyszłości może być pożyteczną i ułatwiającą wytworzenie wielu przedsięwzięć, o ile te będą miały za sobą energię i umiejętność. O pierwszych krokach w zorganizowaniu

wykształcenia elementarnego można będzie pomyśleć dopiero wtedy, gdy się utworzy cech kwiaciarski, któremu ustawa pozwoli na działalność tego rodzaju. Ale wszakże nauka początkowa jest pożądana nie tylko dla uczenic jednego fachu. Należałoby więc wynaleźć jeszcze jaką furtkę prawną, przez którą cały ogół dziewcząt pracujących miałby ułatwione wejście. Zdaje się, że to jest zupełnie możliwe i zgodne z ogólnymi przepisami w zakresie oświaty. Tylko trzeba umotywować rzecz jasno i przekonywająco. W związku z tem jest projekt delegacyi urządzenia kursów niedzielnych dla dziewcząt w lokalu jakiej szkoły, na wzór niedzielno-rzemieślniczych dla chłopców. I tutaj bez energicznych zabiegów dobry zamiar nie przyjdzie do skutku.

Więcej już realne podstawy posiada działalność delegacyi około rozwoju nauki rękodzielnictwa śród dziewcząt po małych miasteczkach. Dotychczas robota ich jest zupełnie bezwartościową, najczęściej ograniczająca się do szydełka. Otóż sterniczki pracy niewieściej znalazły w Warszawie fabrykę wełnianych i półwełnianych ubran dla dzieci, która bardzo chętnie będzie dawać zajęcie po za obrębem zakładu „osobom godnym zaufania," oczywiście nie pod wpływem jakiegoś rozczulenia miłosiernego, lecz w dobrze zrozumianym własnym interesie. Pragnie ona wytworzyć rodzaj werkfirek (kierowniczek wyrsztatowych), które osiadałyby w kilkomilowym obrębie Warszawy po małych miasteczkach i skupiałyby koło siebie dziewczęta miejscowo, jako pomocnice. Muszą one jednak obeznać się przedtem z nowym rodzajem pracy, na co podobno potrzeba najwyżej dwa miesiące nauki. Płaca jest obliczana od wagi roboty: 2—2½ kop. za łut, przy czapeczkach, stosunkowo najkorzystniejszych dla pracownicy. Może ona zarobić 50—60 kop. dziennie. Szkoda tylko, że delegacya nie obliczyła, ile godzin dziennie trzeba poświęcić na zarobienie tej kwoty. Fabryka wysyła swoje produkty do Cesarstwa, w Warszawie zaś sprzedaje ogółem wyrobów włóczkowych na 100,000 rubli, lecz gdyby miała i za 500,000 rs., znalazłaby chętnych nabywców, jak zapewniają specyalistki. Ostatecznie sprawa na tem stanęła, że p. Malinowski, redaktor *Zorzy*, zobowiązał się pośredniczyć pomiędzy delegacyą a fabrykantem.

O ile mogliśmy wywnioskować z dotychczasowych zabiegów delegacyi, troszczy się ona nietylko o interesy materyalne, lecz i umysłowe ogółu pracownic, korzysta więc z każdej sposobności, któraby dałaby im jaki taki pożytek. Między innemi, z powodu zapowiedzianych pogadanek informacyjnych i odczytów dla rzemieślników w Muzeum przemysłu i rolnictwa, porozumiała się ona z twórcami tych wykładów, w celu uzupełnienia programu dziedziną zawodowej pracy kobiet. Delegacya przyszła nawet już z paru tematami gotowymi: „O żywieniu się robotnic," „O znaczeniu rysunku dla rzemiosł kobiecych przy hafcie, kwiatach, kroju i t. d.," „O szkodliwości gorsetów," „O wyborze książek," „O związkach oszczędności." Przy tem inicyatorki nie pomijają i strony etycznej; pragną ażeby prelegenci nie przemawiali tonem moralizatorskim, bo to zrazić może słuchaczki, których surowe umysły wymagają możliwie najskuteczniejszych środków zachęty.

Po za tym szeregiem zabiegów, prób, przygotowań, ster pracy niewieściej rozwinął jeszcze jeden szczegół działalności, z której jakie takie owoce zebrano. Mianowice urządził on wakacye dla szwaczek, nie na podstawie filantropii, lecz wymiany usług. Najpierw przedstawicielki delegacyi zaczęły od zbadania warunków zarobkowych; na wieść o masowem wydalaniu tych pracownic, urządziły „ankietę," której rezultatem były dane przeszło z 70 pracowni i magazynów. Na mocy więc bezpośrednio dostrzeżonych faktów przyszły one do przekonania, że sezonowy zastój nie jest w takiej sile, aby należało uciekać się do miłosierdzia publicznego. Prawda, że od lat kilku stosunki pogorszyły się znacznie, ale też i tradycya, że szycie jest najwłaściwszem zajęciem dla kobiet, wytworzyła i wytwarza nadmiar pracownic, skutkiem czego Warszawa ma szwaczek przeszło 20,000. Otóż właściwą pomocą ma być oddziaływanie na szwaczki w ten sposób, ażeby porzucały igłę i szukały innego pola pracy. Bardzo to pięknie, ale póty niemożliwe i nawet ryzykowne, dopóki delegacya nie rozwinie i nie utrwali swej działalności, jako pośrednik między pracownicami a zarobkodawcami. Opieranie zaś wniosków na danych z 70 magazynów i pracowni jeszcze nie może być materyałem dostatecznym dla prawdziwego zobrazowania i oświetlenia warunków bytu. Jest to bowiem badanie doryweze, które czasem może nawet pochwycić mylne szczegóły. To też bardzo dobrą jest myśl takich poszukiwań stale w pewnych odstępach czasu. Przy oddziaływaniu zaś w celu skierowania licznych rzesz na inne pole pracy, należy jeszcze wziąć pod uwagę nieudolność wielu szwaczek. Uskarżanie się na popsutą robotę i niesumienność, jest zjawiskiem zanadto powszechnem i po odtrąceniu małego procentu utyskiwań na rachunek kaprysów elegantek wybrednych, przyznać trzeba ten szczegół jako fakt niezbity.

Na gruncie sprawdzania warunków pracy szwaczek powstały właśnie wakacye dla nich, dzięki wnioskowi i zabiegom p. Kuczalskiej - Reinschmit, która przyszła do przekonania, że nietylko pokrzepią one zdrowie własne, lecz przyniosą istotną korzyść dworom, zaopatrującym się w ubiory po większych miastach. Niejedna mogłaby nauczyć mieszkankę wsi kroju i szycia, obeznać dziewczęta służby dworskiej chociażby z elementarną robotą krawiecką. Dla zapobieżenia zawodom i przykrościom obustronnym, trzeba określać warunki z góry. Projekt nadspodziewanie prędko przeszedł do czynu. W czerwcu r. 1892 nadesłano delegacyi 13 ofert, z tych 8 na czas wakacyi, 5 na zajęcie miejsc stałych rocznych. Jakoż wkrótce potem wysłano 9 szwaczek, z zadowoleniem obustronnem. Jedna tylko dostała się do pracowni, w której musiała przesiadywać przy robocie po 12 godzin dziennie. Była to pierwsza próba w warunkach dość niepomyślnych, gdyż wyjazd przypadł późno. Najkorzystniej byłoby wakacye zaczynać z wczesną wiosną.

W roku bieżącym już z pewną sumą doświadczenia, delegacya wzięła się energiczniej do tego zadania. W kancelaryi Muzeum przemysłu i rolnictwa urządziła stałe dyżury w kwietniu, maju i czerwcu, t. j. dwa razy tygodniowo przyjmowała zapisy kandydatek do wyjazdu tudzież udzielała wskazówek niezbędnych. Szwaczki przychodziły ze świadectwami uzdolnienia, sprawdzanemi przez delegacyę. Nie poprzestając na tem, zasięgała ona wiadomości po domach i pracowniach. W zamian za rękojmię ze swej strony wymagała od przyjmujących pracownice na letni pobyt, ażeby nie obarczano ich dłuższem zajęciem niż 4—6 godzin dziennie, aby szwaczki dostawały mleka co najmniej kwartę na dobę, co dzień mięso, a przy większych wymaganiach w robocie kilkorublową dopłatę i koszty podróży w obie strony. Natomiast żądania mieszkanek wiejskich nie ograniczyły się do szycia i kroju; chodziło im również o zajęcie się gospodarstwem, dziećmi, często poszukiwano panienek do towarzystwa, nawet w jednym wypadku chciano opiekunki do obłąkanej. Wymagania szycia były rozmaite: od łatania bielizny i przeróbek ubrania do zupełnej znajomości kroju i wykwintnej krawieczczyzny. W razach tylko wyjątkowych bywa z góry określana dopłata lub też przysyłana odpowiednia suma na koszty podróży. Pokój na wsi dają najczęściej osobny, nie zawsze są wzmianki o mleku. Natomiast najmniej kosztowny, a zawsze pożądany warunek: „przyzwoite traktowanie" — dość często przyrzekano z góry.

Szwaczki wogóle stawiały wymagania niewysokie, choć przeważnie życzyły pracy dłuższej, byle z dopłatą; większość bowiem, obarczona obowiązkami rodzinnymi, nie może poprzestawać tylko na utrzymaniu własnem przez czas wypoczynku. Norma zaofiarowanego wynagrodzenia chwiała się od 3 do 12 rs. miesięcznie, przeciętnie zaś 5 rs. i koszt podróży w obie strony. Szwaczki zwykle wyjeżdżały z listem polecającym od delegatyi, jako dowodem zupełnie wiarogodnym. W roku bieżącym na pobyt wakacyjny były 53 miejsca, z których 6 odpadło, gdyż na żądanie bliższych objaśnień uważano za stosowne odpowiedzieć milczeniem, bardzo jednak wymownem... Niewłaściwych było 7 miejsc, chciano bowiem pracy całodziennej bez dopłaty i kosztów podróży. Z 40 pozostałych obsadzono 34, tj. na pewno 26 i wątpliwie 8. Niedokładność danych w tym wypadku wynika stąd, że w wielu razach obie strony pozostawiały czas do namysłu, a często niedokładność, szczególnie ze strony pracownic, w zawiadamianiu delegacyi o rezultatach umowy, utrudniała zebranie szczegółów.

Spragnionych wypoczynku i świeżego powietrza było 82, tj. przeszło dwa razy więcej, niż miejsc zaofiarowanych. Jest to wszakże początek działalności, stosunkowo dość pomyślny. Pośrednictwo delegacyi jeszcze nie nabrało rozgłosu, bo też nie używała ona środków skutecznych, któreby mogłyby szeroko po kraju roznieść wiadomości o potrzebie wypoczynku dla szwaczek w zamian za pracę. Pomimo to jednak wieści doszły aż nad Prut, gdzie kilka domów zaofiarowało gościnę zupełnie bezinteresownie i przyrzekło zachęcić do tego rodzaju pomocy szlachtę całego powiatu. Jakkolwiek delegacya w zasadzie wykluczyła filantropię, znalazłoby się zapewne sporo kandydatek dla skorzystania z tej gotowości, gdyby nie jeden warunek, dość dla nich uciążliwy: szwaczki muszą wziąć na własny rachunek koszt podróży, stosunkowo dość znaczny, bo około 8 rs. w jedną stronę.

Warto, ażeby delegacya w dalszym rozwoju tego pośrednictwa zechciała uciec się do pomocy innych instytucyj, np. sekcyi rolnej, która zapewne nie odmówiłaby swych usług, polegających na zachęcaniu ziemian do udzielania gościnności wyczerpanym pracownicom. Ponieważ tylko na tę sferę ludzi przeważnie liczyć można, jako posiadającą najodpowiedniejsze środki dla „dania wypoczynku letniego" na wsi, więc dobrze byłoby również udać się do innych instytucyj ziemiańskich w Cesarstwie, z taką samą prośbą o pomoc. Nie wiem, jakich środków pośredniczenia używa delegacya; to tylko pewna, że współdziałanie ognisk spraw rolniczych byłoby drogą bodaj najskuteczniejszą i przedstawiającą pewną rękojmię, bo, powiedzmy szczerze, i z drugiej strony jest ona pożądana. Sterniczki pracy kobiecej bardzo skrupulatnie sprawdzają „konduitę" szwaczek, ale nie zwróciły wcale uwagi na to, że „udzielenie gościnności" może czasem być prostą zasadzką, urządzoną przez najzwyczajniejszych niegodziwców, polujących na nauczycielki, bony i inne pracownice bezdomne. Pobudki takie mogą wystąpić tem snadniej, że liczne rzesze pracownic, oddanych igle, noszą na sobie piętno haniebnej sławy — znamienny wytwór warunków również haniebnych...

To, co dotychczas delegacya zrobiła, jest już ważnym początkiem organizacyi

pracy kobiecej, chociaż w ogromie ogólnych potrzeb tworzy zaledwie drobinę. Inicyatorki posługują się w wielu razach i zapewne będą się posługiwać półśrodkami, ale to nie zarzut, a tem bardziej — nie potępienie, bo przecież dobry jakikolwiek czyn, niż zupełna bezwładność. Trzeba zawsze pamiętać o tem, że niełatwe mają one zadanie. Życzyć tylko należy, aby organizacya i naprawa pracy kobiecej była jak najwłaściwiej prowadzona, z najmniejszą stratą środków, czasu i sił na bezowocne zabiegi. Spotkają się one nieraz z żywiołem niesfornym, niewyrobionym, kapryśnym, upartym, lekkomyślnym z niespodziankami i zawodem. Ileż potrzeba będzie cierpliwości i wytrwania, aby to wszystko pokonać! Zjednoczenie pracy rozproszonej to nie koniec dzieła w danym zakresie. Często nie ma czego jednoczyć, bo wytwórczość np. gospodyń wiejskich lub różnych specyalistek w mieście, bywa nieraz najprostszem partactwem, tandetą. Obok więc zrzeszenia, trzeba myśleć o właściwem uzdolnieniu producentek i pracownic fachowych, a zarazem o wyszukiwaniu rynków zbytu i — zarobków *).

Zenon Piętkiewicz.

HANDEL OWOCOWY.

Edmund Jankowski na posiedzeniu październikowem sekcyi rolnej przyrzekł za miesiąc przyjść ze wskazówkami, dotyczącemi handlu owocowego. Z ciekawością pospieszyłem w poniedziałek do sali Muzeum, jak zwykle w mocnem przekonaniu, że nasz doświadczony ogrodnik powie coś godnego uwagi. Nie zawiodłem się. Mówca przedstawił obraz obecnych warunków produkcyi i handlu w tej dziedzinie tak smutny, że wstyd naprawdę! Wedle jego przypuszczeń, czy obliczeń, wziąwszy konsumentów okolicy Warszawy tudzież Łodzi, Sosnowic, Będzina, wreszcie różne miejscowości Cesarstwa (Petersburg, Wilno itd.), otrzymamy około pół miliona pudów różnych owoców rocznego spożycia na sumę niespełna milion rs. Jeden z najgłówniejszych rynków, Warszawa, pozostaje dotychczas w rękach spekulantów żydów. Oni głównie dostarczają dzierżawców, potrafili względnie dobrze zorganizować całe przedsiębiorstwo, doskonale wiedzą, gdzie w danym roku owoce poplacają, gdzie ich pchnąć trzeba więcej lub mniej, słowem, posiadają wiadomości zdumiewająco ściśle z najdalszych okolic. Jeżeli jakiego gatunku owocu brak u nas, czujni pośrednicy sprowadzają go, nawet z daleka, np. z pod Moskwy.

W mieście naszem są tylko trzy targi i to nadzwyczaj pierwotne: na placu Grzybowskim, za Żelazną Bramą i na galarach. Pierwszy w dnie targowe zawalony najróżnorodniejszymi produktami, o oddzieleniu owoców nikt nie myśli. Gromada przekupniów stara się wszelkimi sposobami, i to bardzo skutecznie, nie dopuszczać handlarzy postronnych, niedogodnych dla nich. Za Żelazną Bramą również taka mieszanina. Są tam wszakże sklepy osobne, które przez większą część roku stoją puste, a tylko ku jesieni napełniają się wyłącznie winogronami. Obrót dzienny pewnych aferzystów wynosi 1, a nawet 2 wagony tego produktu, co przedstawia pokaźną sumę. Pod mostem — bodaj najważniejsze ognisko handlu, w okropnym jest stanie. Galary nie są odpowiednio zabezpieczone, skutkiem czego owoce psują się prędko, a w początkach listopada, przy nagłych przymrozkach, muszą być gorączkowo, jak najspieszniej wyprzedawane. Jest to wprawdzie na rękę dla drobnych, ubogich przekupniów, ale przy racyonalnem urządzeniu handlu nigdy za dobre nie mogłoby być uważane. Dostawcy zwykle zsypują razem owoce na dno krypy, mieszają różne odmiany i tylko towar osobnych właścicieli oddzielany jest plecionkami z wierzbiny. Dostawą wodną i handlem pod mostem również zajmują się spekulanci; bardzo rzadko sami ogrodnicy wysyłają galary.

Z rynków dalszych najkorzystniejszym mógłby być Petersburg, ale tam poszukiwane są tylko bardzo dobre gatunki; więc handlarze wiedząc o tem, zawiązują stosunki z wybitnymi ogrodnikami i posyłają czerpany od nich towar przedni. Moskwa z okolicami spożywa dużo, nawet więcej niż Petersburg, bo jest głównym rynkiem, wysyłającym pośrednio owoce dalej ku wschodowi, aż pod Ural. Ale to ognisko dla naszego handlu tej kategoryi jest prawie niedostępne ze względu, że niemożliwa do zwalczenia produkcya bogatego południa i wschodu, Krym i w ostatnich czasach Kaukaz, niemal wyłącznie zaopatrują Moskwę w swoje wytwory. To też tylko w wypadkach, gdy piękne strony, bogato uposażone przez naturę, dotknie nieurodzaj, Królestwo może liczyć na popyt swoich owoców. Wiedzą o tem doskonale aferzyści i bacznie pilnują takich chwil. Wtedy mają tam powodzenie nawet podrzędne nasze owoce, np. węgierki, których wytwarzamy nadmiar, tem bardziej dający się odczuwać, że ich nie suszymy.

Wydzierżawienie sadów najprostszym spekulantom niszczycielom jest, jak słusznie powiada p. Jankowski, kamieniem obrazy dla naszego ogrodnictwa. Rolnicy twierdzą, że sami z braku czasu nie mogą się zająć ogrodami owocowymi, więc wandalizm kwitnie i rozwija się na dobre. Ogrodnicy fachowi nie bardzo są chętni do dzierżaw, bo przecież reprezentują nasze usposobienie narodowe: obawę przed pracą samodzielną. Wolą oni służbę ciężką i pensyjkę skromną, byle stałą i pewną. Otóż należałoby tutaj wynaleźć jakieś środki zachęty, o których prelegent nie mówi, ale natomiast podaje inny sposób warunków dzierżawnych: na podstawie oceny wartości każdego drzewa w końcu maja i pierwszych dniach czerwca, kiedy można z większą pewnością określić wydajność. Tym sposobem podwoiłby się dochód z dzierżawy. Lecz ta ocena musi być powierzona znawcom oświeconym. Przy takim systemie tenuta musiałaby być obliczona na wagę owoców (jednostką powinien być pud).

Ale jednocześnie trzeba przekształcić obecne targi, przynajmniej w Warszawie, i cały sposób prowadzenia handlu, przytem ulepszyć samą dostawę, która odbywa się obecnie w znacznej części na osiach. Otóż koniecznesą resorowe wozy i platformy, coby dałoby możność przewożenia owoców nieuszkodzonych w skrzynkach, koszach itd. Za granicą opakowanie jest jednym z najważniejszych warunków. Nadto istnieje tam dobrze zorganizowane pośrednictwo w sprzedaży, jak np. we Frankfurcie nad Menem i innych miastach niemieckich. Hodowca czy handlarz owoców, przysyła takiej instytucyi próby, oznacza ceny lub prosi o ich określenie. Towar wszakże powinien być ściśle zgodny z próbkami; kto przysyła zły, traci raz na zawsze prawo korzystania z usług pośrednika, który pobiera pewien procent za swoją pomoc, ale za to jest ona niezawodną.

U nas na szeroki i stały zbyt w Cesarstwie nie można obecnie liczyć, bo to są rynki grymaśne, wybredne. W każdym razie należałoby zawiązać trwałe stosunki z wybitnymi agentami. Przedewszystkiem zaś trzeba się postarać o osobny plac w Warszawie, oddzielenie rynku owocowego. Towarzystwo ogrodnicze już kołatało o to do magistratu, ale dotąd nie ma żadnej odpowiedzi. Otóż p. Jankowski radzi sekcyi rolnej, ażeby zechciała wespół z tą instytucyą odnowić i wzmocnić zabiegi. Również wspólnemi siłami tych dwu organów trzeba koniecznie urządzić stałe jarmarki owocowe i sprzedaż przez licytacyę. Dobrze byłoby także, na wzór zagranicy, poszukać pośrednika, którym przecież mogłoby i powinno być — Towarzystwo ogrodnicze.

Iwag.

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

Czynniki rozwoju handlu zbożem po obu stronach Atlantyku. — Organizacya elewatorów wiejskich i miejskich. — Wyzysk rolnika i centralizacya pośrednictwa. — Skutki. — Cofanie się. — „Precz z elewatorami!"

Dużo mówią obecnie w Europie o elewatorach i innych właściwościach handlu zbożowego w Stanach Zjednoczonych: rządy wysyłają specyalistów dla zbadania na miejscu zwyczajów zamorskich, nasze giełdy biorą stamtąd wzory dla swoich ustaw, jadą za Atlantyk teoretycy nauki agronomicznej. Ukazują się gruntowne dzieła, które zapoznają nas w sposób szczegółowy z organizacyą handlu zbożowego po tamtej stronie oceanu. Świeża praca o tym przedmiocie, d-ra H. Schuhmachera, odznacza się tą zaletą, że roztrząsa nietylko dodatnie strony zwyczajów amerykańskich, lecz uwzględnia także ujemne *).

Rozwój handlu zbożowego po obu stronach Atlantyku odbywał się w splocie odmiennych warunków historycznych. W naszej części świata rolnictwo istniało już oddawna, wymiana zaś powstała względnie w bardzo późnym okresie, przyczem była długo instytucyą miejscową, niewykraczającą po za niewielki mały terytoryalny. Wielki handel międzynarodowy powstał dopiero z biegiem czasu, ale dotychczas nie zdołał pozbyć się wielu zwyczajów drobnomiasteczkowych. Sprzedane zboże sypią do worków, skutkiem czego zachowuje ono swoją indywidualność i nie tonie bez śladu w potoku wymiennym: dokonana umowa lub dostawa dotyczą nie zboża wogóle, ale określonej ilości ziarna, zawartej w pewnych workach. Przeciwnie działo się za Atlantykiem. Stany Zjednoczone są krajem bez przeszłości. Gdy tłumy osadników zaludniły daleki Zachód i Ameryka zajęła pierwsze miejsce w szeregu krajów wywożących zboże, to nie było tam żadnej tradycyi, którąby nałożyła swoje piętno na późniejsze ukształtowanie organizacyi pośredniczącej. Jedynie potrzeby teraźniejszości rozstrzygały o tem, jakie zwyczaje należy zastosować. Na dziewiczej glebie osiadali koloniści, rozporządzający najczęściej jedynie siłą swoich mięśni, bez żadnego kapitału. Powstająca organizacya handlowa musiała uwzględnić tę okoliczność: trzeba było oszczędzić wydatków na budowę stodół i spichlerzy, usunąć nieprodukcyjne uwięzienie kapitału w formie worków. Nadto wytwórczość zboża na dalekim Zachodzie była obliczona nie na zaspokajanie potrzeb rynku miejscowego, który tam nawet prawie nie istniał, lecz na wywóz do Europy. Handel musiał posiadać odpowiednią elastyczność oraz, ze względu na daleki transport, zaprowadzić możliwe oszczędności, bo tylko przy takich warunkach mógł mieć widoki zdobycia rynków europejskich. Skutkiem tych przyczyn powstały dwie zasadnicze

---

*) Delegacya pracy kobiet zawdzięcza swe istnienie głównie najenergiczniejszej inicyatorce, przewodniczącej, p. Kuczalskiej-Reinschmit. Wice-przewodniczącą jest p. Julia Sikorska, sekretarką p. Bojanowska.

*) H. Schuhmacher, „Der Getreidehandel in den Vereinigten Staaten," część I, w *Jahrbücher f. Nationaloekonomie und Statistik*, 1895, III.

właściwości organizacyi handlowej w Ameryce: potok zbożowy, nie ograniczony ilością, jak w Europie; zboże sprzedawane spoczywa w śpichlerzach i wysyłane nie jako część wyodrębniona z całości, ale jako pewna cyfra jednostek w masie odpowiedniej nomenklatury. Towar, gdy opuści fermę rolnika, traci swoję indywidualność, bo jest zmieszany z produktem, pochodzącym z innych folwarków, istnieje więc tylko jako dana liczba buszli w ilości ogólnej.

Śpichlerzy prawie niema za morzem, a przynajmniej nie posiadają one na folwarku takiego znaczenia, jak u nas. Zamiast tworzyć nieodzowną część składową majątku, oddzieliły się one od niego i w społecznym podziale pracy wyodrębniły się jako zawód specyalny. Wzdłuż i wszerz zamorskich terytoryów zbożowych takie „uspołecznione" składy, czyli elewatory, rozsiadły się w wielkiej liczbie. Jedne, znane pod nazwą wiejskich, tuż w pobliżu ferm, na stacyach dróg żelaznych, przyjmują zboże wprost od rolnika; inne, miejskie, powstały w wielkich ogniskach handlu.

Elewatory wiejskie są zwłaszcza liczne w pasie pszennym, obejmującym przestrzenie wzdłuż rzeki Czerwonej. W jednej Minnesocie istnieje ich około tysiąca. A ponieważ było r. 1892 w tym stanie 93 tysiące osad i 1,300,000 mieszkańców, przeto jeden elewator wiejski przypadał na 100 ferm i 1,000 głów ludności! Stosunek ten jest jeszcze jaskrawszy w Dakocie północnej. Budynki te są niewielkie. W Minnesocie przeciętnie pojedynczy skład może zmieścić około 35 tys. buszli. Powstawały one jednocześnie z koleją żelazną. Ta sama spółka, akcyjna, która budowała drogę, zakładała takie elewatory— w swoim własnym interesie. Szło jej o dostawy zboża. Składy takie umożliwiały kolejom regulowanie przewozu. Służyły jako zbiorniki, do których odprowadzano potok w porze masowej podaży, gromadzono tam tyle zboża, ażeby odrazu zająć pod przewóz cały pociąg i wysyłano w czasie najkorzystniejszym dla ruchu. Rozmiary elewatorów wiejskich zależą więc od względów, związanych z interesami drogi, i zwykle nie przewyższają pojemności pociągu towarowego. Rosną w tych okolicach, w których gleba jest urodzajną, żniwa zaś trwają krótko, bo tam zboże napływa do składów masowo i jednocześnie; kolej nie może podołać wywozowi ziarna, dopływającego na stacye. Zmniejszają się, jeżeli w pewnej okolicy rynek miejscowy pochłania znaczną ilość zboża, gleba jest mniej urodzajną, żniwa zaś ciągną się długo. Takie źródło powstania składów wiejskich świadczy, że przy ich wznoszeniu bynajmniej nie uwzględniano interesów ziemianina. Niektórcy w Europie twierdzą, że te uspołecznione śpichlerze przyjmują zboże pod zastaw lub na przechowanie, póki „konjunktury" na rynku nie ukształtują się dla rolnika korzystniej. Jest to pogląd mylny, bo same rozmiary elewatorów wiejskich na to nie pozwalają, następnie zaś interes monopolistów, którzy dzisiej dzierżą handel zbożowy i posiadają takie budynki, zniewala ich do utrudniania rolnikom takiego korzystania ze składów.

Koleje żelazne w Ameryce nie łączą się z sobą. Zwykle trzeba przewozić towary w większych miastach z jednej stacyi na drugą. Jest to w związku z tą okolicznością, że kapitaliści pewnego miasta, najbardziej wysuniętego w danej chwili na Zachód, budują drogę dalej w tym kierunku za fundusze miejscowe. Rozumie się, usiłują zrobić swoje miasto węzłem torów kolejowych i składowym punktem dla transportów: dalej idąca kolej nie zawsze ma na pogotowiu pociągi i towary leżą na składzie w danem mieście. Ażeby dopiąć tego, kapitaliści uważają wszystkie środki za godziwe. Wiele miast podniosło się tylko dzięki takiej taktyce. Chicago posiada np. około 60 dworców. Wszystkie towary trzeba tam przeładowywać z jednej kolei na drugą, nieraz ze zwłoką parodniową. Skutkiem tego w takich węzłach ruchu kolejowego na północy powstały liczne elewatory, bardzo duże (*terminal elevators*); niektóre z nich mogą pomieścić w sobie bajecznie wielkie masy zboża: r. 1893 zbudowano skład w Chicago na 3 miliony buszli, w Minneapolis zaś na 4½! Ogółem Chicago może w swoich elewatorach dać miejsce jednocześnie 33 mil. buszli zboża, Duluth 26, Minneapolis 17. Dwanaście najgłówniejszych rynków zbożowych w Stanach Zjednoczonych pospołu mogą zmieścić 157 mil. buszli. Pszenica jest głównym produktem na przechowaniu, kukurydza nie wynosi nawet jej piątej, owies zaś dziesiątej części; o życie i jęczmieniu nie warto nawet wspominać. Te olbrzymie zbiorniki zboża ściągają do siebie ziarno z całego kraju. Świadczą one z jednej strony o rozmiarach spekulacyi, z drugiej — o wyzysku rolnika. Wyobraźmy sobie ogrom tych składów, weźmy pod uwagę także tę okoliczność, że są one zawsze zajęte, chociaż ziarno wciąż wychodzi z elewatorów, tak iż faktycznie bywają one w ciągu roku wielokrotnie opróżniane do szczętu. Zważmy także, że z braku swoich śpichlerzy rolnik musi zaraz po żniwach odwozić zboże na kolej, dla niego zaś niema miejsca w elewatorach wiejskich. Uwzględniwszy to wszystko, pojmiemy, że zapasy pszenicy, o ile nie były natychmiast spożyte, spoczywają w wielkich ogniskach handlu, lub ściślej, przechodzą z jednego elewatora do drugiego, tworząc realną podstawę do spekulacyj na giełdzie. Już takie ześrodkowanie zboża w Chicago, Buffalo i innych miastach, zdala od ferm, świadczy, że wytwór pracy rolnika wyszedł zupełnie z pod zakresu jego oddziaływania. U nas ziarno z folwarków i osad włościańskich napływa na targi przez całą jesień i niekiedy zimę. Zapasy znajdują się w ręku wytwórcy i tem samem taki stan rzeczy nakłada hamulec na spekulacyę, bo zawsze umożliwia dowóz, który w niwecz obróci zabiegi spiskowców w handlu. W Ameryce wszystkie tamy zniesiono!

Już z powyższego widać, jaki wpływ wywiera istnienie elewatorów na stosunki ekonomiczne. Zwiększa ono potęgę pośrednika, podnieca spekulacyę na giełdzie, gromadzeniem zboża w paru miejscach tylko umożliwia zmowy pomiędzy pośrednikami i zachęca do *ringów*, których próbki oglądaliśmy przed paru laty w handlu surową miedzą. Ale wszystkie te skutki organizacyi składów uwydatnią się jeszcze silniej, jeśli rozpatrzymy ześrodkowanie tytułów własności do takich elewatorów. Olbrzymia sieć składów wiejskich, rozproszonych w porzeczu rz. Czerwonej wzdłuż torów kolejowych, należy do paru spółek kapitalistycznych, które posiadają swoją siedzibę w Duluth i w Minneapolis. W tem ostatniem mieście np. istnieje towarzystwo akcyjne, władające aż czterystu elewatorami. Kupcy zbożowi i młynarze umieścili w niem bardzo znaczne kapitały — naturalnie nie po to, ażeby umożliwić rolnikowi lepsze warunki zbytu produktów. Składy wiejskie należały pierwotnie do kolei, spółka wykupiła je zwolna i opasała rolnika ze wszystkich stron, niszcząc w samym zarodku możliwość oporu. Pośrednicy ci są zainteresowani w tem, ażeby ziemianin nie wyczekiwał korzystniejszych warunków na rynku, ale sprzedawał w porze najnieodpowiedniejszej. Ponieważ fermerzy nie posiadają śpichlerzy w swoim majątku, przeto są zmuszeni odwozić masowo zboże na stacyę zaraz po żniwach, w dalszym zaś ciągu sprzedawać je. Taka ryczałtowa podaż sprawia powszechną zniżkę cen, która na dobre wychodzi tylko kupcom. Pewne spółki usiłują nabyć od rolników danego terytoryum wszystkie zboże. Czynią one obroty na giełdzie najbliższej i jak strategik nie jest pewny wygranej, gdy pozostawił za sobą wroga, tak samo ów spekulant nie dowierza zapasom zboża w osadzie fermera, gdyż w stanowczej chwili mogłyby one nadejść na rynek i staną na drodze wszystkim jego wyrachowaniom. Takie zaś towarzystwa porozumiewają się jeszcze pomiędzy sobą i łączą się w ogromne syndykaty. W Buffalo np. istnieje takie sprzysiężenie pomiędzy tamtejszemi *terminal elevators*. Obejmuje ono aż 40 składów wielkomiejskich (z nich zamknięto 15, bo skutkiem urządzonej centralizacyi okazały się zbytecznymi), powstało zaś po uporczywej walce, w której mniej zasobni kapitaliści ulegli. Monopoliści otrzymali w r. 1891 aż 25% dywidendy. Podobny kartel utworzył się świeżo w Brooklynie: należy do niego 264 składów na najrozmaitsze towary oraz 16 elewatorów, posiadających pospołu pojemność 20 mil. buszli. Na zachodzie nie doszło jeszcze do takich olbrzymich związków, ale i tam istnieją już syndykaty, oraz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że „przyjacielskie porozumienie" — *friendly gentleman's agreement*, jak wyraża się kapitalista amerykański o spiskach przeciwko spożywcom i wytwórcom — obejmie ogół elewatorów. Monopol osaczy wtedy zewsząd rolnika.

Elewatory są niezbędnem ogniwem organizacyi handlu zbożowego: umożliwiają natychmiastowe zaspokojenie popytu na rynku, nadają mechanizmowi pośredniczącemu niezmierną giętkość i ruchliwość. Ale bądź co bądź wzmacniają one potęgę pośredników ze szkodą rolnika, przynajmniej drobnego. To też w Stanach Zjednoczonych powstał wśród fermerów ruch, domagający się reformy. Ziemianie żądają unarodowienia elewatorów; w Duluth nawet postanowiono wybudować taki skład za fundusze kasy stanu, ale klika monopolistów umiała przeszkodzić temu. Związek w programie swoim umieścił paragraf, domagający się budowy elewatora państwowego w każdem hrabstwie, oraz wydawania pod zastaw złożonego towaru zaliczki aż do 80% wartości produktu, wreszcie obliczania taksy za przechowywanie według skali kosztów. Urzeczywistnienie takiego żądania umożliwiłoby rolnikom wyczekiwanie i jednocześnie zadałoby cios stanowczy potędze pośredników. Rolnicy dążą także do zniesienia monopolu węzłów kolejowych przez wprowadzenie bezpośredniej komunikacyi. Widoki powodzenia są atoli małe. Z jednej strony stoją nieliczni i ruchliwi przedsiębiorcy, posiadający ogromne fundusze i stosunki w sferach parlamentarnych, z drugiej zaś rzesza wprawdzie liczna, ale z natury swojego zajęcia przymocowana do gruntu, nie zasobna w kapitały, nie zawsze znajdująca uczciwych rzeczników. Skutkiem tego ostatnimi czasy powstał, w Ameryce szczególnie, ruch przedstawiający, ze stanowiska postępu ekonomicznego, krok wstecz. Drobni fermerzy, nie mogąc uporać się z monopolem elewatorów, zaczynają szczerzyć myśl powrotu do wzorów Europy włościańskiej! Budują tedy stodoły i śpichlerze, ażeby mieć miejsce dla przechowywania zboża, które nie może znaleźć pomieszczenia w składach. Unarodowienie więc elewatorów, staje się tam palącą kwestyą dnia.

K. R. Ż.

— Na posiedzeniu poniedziałkowem sekcyi rolnej oprócz odczytu p. Jankowskiego, porządek dzienny wypełniły: sprawozdanie delegacyi kultury torfowisk, odczytane przez p. Jórskiego, wykład prof. Millera o doświadczeniach z okazami różnych rodzajów szlaki Thomasa, wreszcie p. Czekanowski zdał sprawę z choroby buraków.

— We czwartek ubiegły na posiedzeniu sekcyi rzemieślniczej p. Ludwik Krzywicki mówił o rzemiosłach w Niemczech.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. *Birż. Wied.* donoszą, iż ministeryum spraw wewnętrznych zaleciło niedawno okólnikiem za pośrednictwem gubernatorów prezesom zebrań ziemskich, ażeby pod osobistą odpowiedzialnością nie pozwalali na zebraniach roztrząsać kwestyj, posiadających znaczenie ogólno-państwowe.

— W Paryżu będzie znowu otwarta giełda pracy, z usunięciem polityki.

— W Glasgowie i Belfaście urządziło zmowę około 100,000 robotników.

— Według *Warsz. Dn.*, poruszono sprawę pozwalania sprzedaży majoratów w kraju zachodnim, ale jedynie włościanom pochodzenia rosyjskiego przez pośrednictwo Banku włościańskiego i ze spłatą na lat 34½.

— Zarządzający ministeryum spraw wewnętrznych zakazał sprzedaży oddzielnych numerów gazety *Rusk. Wiedomosti.*

— P. minister skarbu na skargę urzędnika sądowego z Warszawy o poddanie osobistej rewizyi jego żony, wracającej z zagranicy, polecił winnego nadużycia przenieść z komory celnej na niższe stanowisko po za obrębem granicy zachodniej.

Pogłoska. *Nowosti* otrzymują, że dyrektorem departamentu spraw ogólnych ministeryum spraw wewnętrznych ma być mianowany gubernator wileński, von Greveniiz.

Mianowanie. R. t. Dołgowo-Saburow został towarzyszem ministra spraw wewnętrznych.

Szkoły. Urząd lekarski w Warszawie postanowił otworzyć „kursy repetycyjne" dla akuszerek przy szpitalu ewangelickim, pod kierunkiem dr. Neugebauera. Po skończeniu nauk teoretycznych, akuszerki oddawać się będą praktyce pod nadzorem lekarzy w przytułkach położniczych.

Zdrowie publiczne. Według *Prawit. Wiest.*, od 1 do 14 października w gub. wołyńskiej zachorowało na cholerę 1,490 osób, zmarło 616. W gub. kijowskiej mało wypadków tej choroby.

— Rada miejska dobroczynności publicznej w Warszawie na ostatniem posiedzeniu postanowiła zwrócić się do ministeryum spraw wewnętrznych o utworzenie przy wolskim szpitalu zapasowym 5 etatowych posad lekarzy: starszego lekarza z pensyą 1,200 rs. rocznie, starszego ordynatora — 900 rs. i trzech młodszych — po rubli 600, z zaliczeniem ich do służby państwowej. Postanowiono nadto zwrócić się do władzy właściwej o dodanie dwóch lekarzy nadetatowych szpitalowi praskiemu, zwłaszcza że niezadługo otwarty będzie nowy pawilon na 50 łóżek.

— Przy szpitalu św. Jana Bożego w Warszawie wybudowany będzie nowy pawilon na pomieszczenie 50 chorych. Wydatki w sumie 91,000 rs. mają być pokryte z funduszów opłaty szpitalnej.

— Gmina żydowska w Warszawie posiada rs. 2,000 na otworzenie przytułku dla położnic wyznania mojżeszowego. Koszty utrzymania pokrywać będzie gmina.

Koleje i komunikacye. Wyznaczono 437,200 rs. na regulacyę Wisły w dalszym ciągu od Warszawy.

— Departament kolejowy zawiadamia, iż podróżnym, udającym się na wystawę do Niższego Nowogrodu, sprzedawane będą na wszystkich kolejach bilety ulgowe o 50% tańsze. Prócz tego wyszczególniono marszruty ze znaczną zniżką od zachodnich punktów pogranicznych tudzież od portów morza Bałtyckiego i Czarnego.

— Otwarto ruch na drodze podjazdowej Święciany-Postawy.

— Skutkiem mrozów żeglugę na Wołdze i Oce prze[illegible].

Zjazd. Na grudzień zapowiedziano w Petersburgu zjazd przedstawicieli towarzystw asekuracyjnych.

Wypadki. D. 9 b. m. pod Pskowem jacyś złoczyńcy usiłowali wykolejć pociąg osobowy, idący z Petersburga do Warszawy. Położyli na szynach ciężkie kłody, które wywołały tylko silne wstrząśnienie przednich wagonów.

— Z Madrytu donoszą, iż w pensyonacie męzkim w Sabadel i w klasztorze żeńskim w Cordejuela były wybuchy dynamitowe.

— W okolicach Batumu wylewy rzek poczyniły znaczne szkody.

— W tunelu pod Rieką wykoleił się pociąg. Kilka osób pokaleczonych.

Zmarli. Stefan Łodwigowski, w Warszawie, muzyk, kompozytor, zbieracz melodyj ludowych. Tworzył krakowiaki, polonezy, mazurki do słuchu i rzeczy taneczne. Ur. r. 1815.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Ноября 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.